



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Zakwitły bzy; wśród wszystkich kwiatów są one chyba najpopularniejszymi dzieciakami Flory, mają swój odrębny urok, mają najwięcej powodzenia, są kwiatkiem wszystkich stanów i wszelkiego wieku.

Nosi je zarówno szewcki chłopak, jak książę, wiejska dziewczucha, jak modna elegantka miejska, zawieszają je nad kołyską dziecka i stawiają po salonach w majolikowych wazach; parobczak jadący z mlekiem do miasta zatyka gałązkę bzu za uprząż koniowi a sobie za czapkę, taksamo, jak pański stangret ubiera nim powóz, wracający z zamiejskiej majówki.

Kobiety i mężczyźni, dzieci i starcy, ubodzy i bogaci lubią bez, ozdabiają się nim chętnie, zrywają go całymi pękami i napawają się jego wonią, a cieszą widokiem pierwszych liści; jakby zapowiedzią czegoś bardzo rzadkiego i bardzo przyjemnego:

— Bzy, bzy zakwitły!...

W pensjonarskich albumach i starych książeczkach z modlitwami znajdziecie zasuszone wianuszki i litery, sprzęgane z drobnych kwiatków bzowych, które czyjeś drobne palce nizały jeden na drugi „dla pamięci“.

Po latach, w życia jesieni, taka zwiedła pamiętka owiewa nas jakby zbudzonym technieniem dawno, dawno minionych wiosen, i jakiś melancholijny uśmiech osiada na ustach a pierś się mimowoli podnosi westchnieniem:

— Miły Boże!... gdzie te czasy!...

Ale ja nie to chciałem powiedzieć, pisząc o bzach rozkwitłych; sentymentalne reflexy dawnego wyszły z mody i pani Konopnicka gotowa mi znowu przy sposobności zrobić zręczny przytyk, jak w swej ostatniej nowelce w *Kraju*, że moje wiersze przepisują sobie pensyonarki, jakby to jej poezyi nie deklamowali studenci.

Alboż w tem jest co złego?... Chwała Bogu, że wogóle wierszami nie gardzą i czytają je młodzi.

Co do mnie, cieszę się, ilekroć na estradzie albo prywatnie usłyszę choćby poraż setny powtórzone przez usta panięskie natchnione słowa: „Do kobiety“ i żałuję tylko, że to nie ja sam napisałem takie wyznanie wiary dla serc niewieści; a pani Konopnicka ironicznie się uśmiecha, że pensyonarki wiersze moje i Czesława każą oprawiać jakimś Mendlowi Gdańskiemu, przepisane na listowym papierze, niebiesko ze złotymi sznurkami.

Mniejsza o to: ja się nie gniewam na tę kolleżeńską spileczkę, chowam ją bez urazy, a natomiast wszystkim miłośnikom poezyi i wielbicielom talentu p. Konopnickiej polecam miniatury, jak cacko, wydanie samego wyboru jej utworów, które puściła w obieg swoim nakładem księgarnia Gebethnera i Wolffa.

Znalazły się tu, jak w bukicie, najwonnniejsze i najpiękniejsze kwiaty natchnienia autorki, znane wprowadzić z innych edycji, ale ułożone i dobrane tak, że dają jakby próbki wszystkich barw, wszystkich rodzajów, całej rozmaitości i wielostronności tego obfitego talentu.

Wydanie to nowe, bardzo zgrabne, powiedziałbym bardzo smaczne, przypada jakoś do ręki, jak zawarte w niem pieśni do duszy czytelnika.

Wtym samym formacie wyszedł poprzednio „Pan Tadeusz“ na wzór takich wytwornych

edycji francuzkich poetów, które w dziesiątkach tysięcy exemplarzy rozsypują się po świecie.

Już to nikt inny nie umie dzisiaj tak kokietować zewnętrznym wyglądem książki, jak francuzcy wydawcy; zanim się tytuł zobaczyło, zanim się przeczuciło kilka kartek, już człowieka ochota bierze kupić takie ślicznie drukowane, ślicznie oprawne, ślicznie illustrowane i ozdobne wydanie, choćby dla samej jego zewnętrznej wartości.

Książka tam zamienia się na prawdziwe dzieło sztuki i zbytku w swoim rodzaju, który się staje niemal potrzebą wytworniejszych czytelników. Szczęśliwy kraj, w którym edytorstwo może bez ryzyka pozwalać sobie na takie nakłady i robić na nich wyborne interesa!

A u nas...

U nas zakwitły bzy; wracam do mojego tematu, aby nie zbaczać w dziedzinę przykrych reflexyj i coraz smutniejszych doświadczeń, jakie robimy musimy na polu wydawniczym.

Chciałem stwierdzeniem tego faktu w państwie, wcześniej, niż kiedykolwiek, rozbudzonej Flory zaznaczyć pełnią jaśniejącej wiosny, która w tym roku olśniewa świat swymi blaskami.

Poetyczna jej strona nie pozostawia nic do życzenia; prozaiczna wszelako inaczej się przedstawia.

Gospodarze rozmaicie wróżą o przyszłych urodzajach i plonach, — i tu ta piękna, pogodna, słoneczna i upalna wiosna doznaje krytyki.

W ostatnich dniach wszelako, im bliżej Serwacego, Pankracego i Bonifacego, zmienia się

aura, barometr coraz częściej opada, niebo się chmurzy i owe tęsknie przyzywane deszcze zasilają wilgocią spragnioną ziemię; mieliśmy już burzę z piorunami i gradem, które w początkach Maja zakrawały na anachronizm.

Podczas największej kanikuly nie szalałyby gorsze nawałnice, a człowiekowi aż się niemiło robi, gdy pomyśli, że jeśli to lato tak anormalnie się zaczyna, to na czym zakończyć się może...

Tymczasem korzystamy z wiosny i rozkoszujemy się jej zdradliwymi wdziękami.

Każdy dzień wywabia tłumy ku Łazienkom i w Aleje, w Niedziele i Święta przecisnąć się trudno na przechadzkach, świeża zieleń pociąga i nęci, choćby nią była tylko trawa na skwerach, porządkowanych coraz gorliwiej pod opiekunostwem okiem dobrowolnych stróżów plantacji miejskich.

Ogród Saski roi się rano, w południe i wieczorem, trzema rodzajami publiczności, wśród której coraz bardziej wzmaga się zastęp tych, co przed południem „wody“ popijają kawą, a po południu „kawę“ popijają wodą, sumiennie przegryzając... bliźniami swymi te porce pochlaniających płynów.

Nasz „letni salon Warszawy“ pod jednym względem podobny jest przedewszystkiem do prawdziwego salonu warszawskiego, że w nim najważniejszym żywiołem zabawy są... ploteczki i obmowa, nowinki i komeraże, od ławki do ławki, od alei do alei, od stolika do stolika na werendzie, krążące przez dzień cały.

Nie lubię Saskiego Ogródu dla jego plotkarzy i plotkarek, pod rozmaitą formą zajmujących się cenzurowaniem całego świata.

Botanika i Łazienki ściągają największą ilość amatorów świeżego powietrza i pięknej natury. Aleje Ujazdowskie coraz więcej też ogródków, restauracji, mleczarni i kwiatów zyskują, coraz obficiej oblewają się światłem lamp elektrycznych, które wszelako rozpowszechniają się w Warszawie jeszcze dosyć powoli,—corazwięcej nabierają charakteru wielkomiejskiej arterii na wzór Wiednia, Paryża lub Berlina.

Dolina Szwajcarska, dawniej ulubione miejsce melomanów i lepszego towarzystwa, w ostatnich latach nabrała połowicznego charakteru; inną jest w zimowym, inną w letnim sezonie, zmienia też w tych dwóch porach roku do gruntu swoją publiczność, która... niezawsze to miejsce zdobi, zwłaszcza kiedy pod maską zbiera się na wesołych balikach podczas karnawału.

Piękne czasy symfonicznych koncertów dawno dla Doliny minęły, kiedy się tam chodziło słuchać Beethovena i Haydna, Wagnera i Brucha, kiedy grywał Bilse i Fliege, a najpiękniejsze Warszawianki obsiadały stoły i wyglądały, jak wielone akordy dobrego tonu, anielskich harmonij i rozmaitych odcieni wdzięku.

Potem przyszła epoka p. Sonnenfelda i kadetów węgierskich, a z niemi atmosfera Eldorada i Belle-Vue, stanął cyrk letni, rozległo się trzaskanie z biczów i idyotyczne śmiechy clownów.

W tym roku odnowiono, odświeżono, wylakierowano Dolinę, zatopiono w blaskach elektryczności i spróbowano przywrócić lepszą jej tradycję.

Na estradzie zajęła miejsce wędrownych cyganów włosciańska orkiestra p. Namysłowskiego, a z nią jakiś swojski charakter się roztoczył.

Lepszą publiczność zwabił tam raut muzykalno-dramatyczny, które urządziło grono pań na cel dobroczynny zeszłego Piątku i kto wie, czy to nie będzie hasłem do wprowadzenia znowu w modę Doliny Szwajcarskiej, podupadłej w opinii ostatnich laty.

Owe rauty letnie okazały się dobrym pomysłem; pierwszy odbył się na inaugurację Maja w sali ratuszowej, zapelnionej sprosznionymi gośćmi, którym uprzejme gospodynie rozesały bilety; drugi i dwa następne przeniesiono do Doliny Szwajcarskiej.

Urozmaicony program zawierał popisy wokalne, instrumentalne, deklamacyjne, kilka komedijek, parę operetek, wykonanych niby przez siły amatorskie, ale z artystyczną precyzją pod kierunkiem p. Chodźki, pamiętnego z desek scenicznych przed laty kilkunastu.

Doświadczoną rękę reżyssera znać było w wykonaniu obu operetek Offenbacha, który jako kompozytor „Pana Chouffleury“ i „Małżeństwa przy latarniach“ niczem jeszcze nie zapowiadał późniejszego rodzaju i skłonności do zbyt dekolowanych bohaterów i tematów.

Najbardziej dekolowanymi bohaterami chwili są w Warszawie Indianie z trupy „Wild-America“, dającej codziennie bez względu na pogodę przedstawienia na Polu Mokotowskim przed trybunami Towarzystwa wyścigów konnych.

Ma to być częstka słynnego cyrku amerykańskiego, który w zeszłym roku popisywał się na wystawie powszechnej w Paryżu, częstka najlepsza ze słynnym strzelcem Dr Carver'em na czele, którego w celności nikt dotychczas nie przewyższył w Europie.

Truppa składa się z tak zwanych cow-boys'ów, amerykańskich pasterzy koni i bawołów i z dzikich tylko *de nomine* Indian, zachowujących jedynie powierzchowność, strój i charakterystyczne cechy dzieci natury, ale oglądzonych cywilizacją, oświeconych religią chrześcijańską, oswojonych i przywykłych do życia europejskiego.

Wszyscy Indianie w truppie Dr Carver'a są katolikami.

Kiedy patrzałem na nich, pędzących konno na złamanie karku, naprężających łuki i strzelających z rewolwerów, groźnych pozorami swojej dzikości, podobnych do jakichś piekielnych straszdeł raczej niż do ludzi, przypominała mi się jedna z najlepszych nowel Sienkiewicza p. t. „Sachem“.

Pamiętacie tego ostatniego potomka dzikiego plemienia Indian, który pokazuje się w amerykańskim cyrku, przeraża publiczność swoją wojenną pieśnią zemsty, swą krwiożerczą miną, swymi ruchami groźnemi, a w chwili gdy yanke-sów dreszcz trwoży zaczyna przejmować, przypuszczalny mściciel swojego pokolenia, zgębnego przez zaborczą cywilizację, obchodzi arenę i zbiera... datki na piwo, zwyczajem pospolitych hecarzy.

Tosamo wrażenie zrobili na mnie synowie dziewiczych lasów i preryj amerykańskich na Polu Mokotowskim, wyzyskujący swoją „dzikość“ dla marnego grosza, za który później zjadają smażone befsztyki zamiast surowego mięsa, piją piwo i zgrywają się w karty, porozkładani leniwo i ospale na trawie.

Francuzka kuchnia przypadła im w Europie do smaku, a pod względem zamięłowania do hazardu, mogliby się śmiało mierzyć z członkami rozmaitych klubów i resurs warszawskich.

Popisy ich zręczności w jeździe konnej i strzelaniu z łuku nie są tak znowu nadzwyczajne i niewidziane w Europie, jak się przechwala afisz; pod tym względem „blade twarze“ przewyższają dzikich kawalerzystów.

Cow-boys'y naprawdę mogą zaimponować siłą, zręcznością i ekwilibristyką, za jaką wskazują na dzikie konie, utrzymują się w siodle, pomimo szalonych skoków rumaka, dosiadają bawoły schwytane na *lasso* a siłą i odwagą poskramiają nieujedźdzone zwierzęta.

Produkcyę ich dają przynajmniej wyobrażenie o koczowniczym życiu w preryach i są jakby ilustracją do amerykańskich powieści Coopera lub Maryata.

Dr Carver, mężczyzna atletycznej postawy, w swym łośowym garniturze, w kapeluszu z szerokimi skrzydłami, w butach ze stylpami, ze strzelbą w prawej, a uszłą w lewej ręce sprawia na koniu wrażenie wielonej tężyzny męskiej i ideału sportsmena.

Nie ma dla niego przyjemniejszej rozrywki, niż koń i strzelba; o tym człowieku nie można powiedzieć, aby napsuł dużo prochu w życiu, skoro w przeciągu kilku lat zabił kilka tysięcy bawołów, a szklanych kul wyrzucanych w powietrze natłukł taką masę, że możnaby z nich chyba górę usypać.

Ile razy się zmierzy, tyle razy trafi; niema, zdaje się, pozycji, w którejby spudłował, a gdyby za przykładem naszych Nemrodów zechciał opowiadać swoje myśliwskie przygody, wszystkie ich bajki pobiłyby prawdą. Oóż to za sztuka dla niego wystrzelić stadko kuropatw z magazynówki przy

jednem złożeniu się, skoro pięć szklanych bil wyrzuconych jednocześnie w powietrze rozbija swojemi kulami, mierząc z konia!..

Dr Carver jest osobliwością w swoim rodzaju, jednak swą sztukę przecenił bardzo, zjeżdżając do Warszawy i nakładając tak wysokie ceny za miejsca, że przeciętny Warszawiak musi się wyrzec Wild-Ameryki i otwierania ust z podziwu na widok strzałów tego nowoczesnego Tella.

Niepowodzenia pierwszych przedstawień skłoniły dyrektora trupy do niższenia cen, ale wątpię, żeby mu to pomogło wiele do wyrównania deficytu dotychczasowego.

Mamy obecnie sezon samych osobliwości w Warszawie. Na Mokotowie Indianie, w Teatrze Wielkim liliputy; od Środy towarzystwo dramatyczne karzełków rozpoczęło szereg przedstawień na wielkiej scenie, korzystając z ostatnich dziesięciu wieczorów wolnych przed zamierzonym przebudowaniem gmachu.

Przed dwoma laty widzieliśmy już tych niedorośliwych artystów, wobec których publiczność odgrywa rolę dużego Guliwera; wówczas miniaturowa truppa ściągala licznych widzów i zyskiwała huczne oklaski.

Repertuar mają lilipuci zastosowany do swego wzrostu, a kalectwo swoje wyzyskują z wielkim humorem i dowcipem, wystawiając fantastyczne sztuki, osnute na bajecznych motywach, albo wówle umyślnie dla nich pisane, w których zawsze jakieś maleństwa wchodzą w kolizyę z dorosłymi ludźmi i swoim sprytem odnoszą zwycięstwo.

Pamiętam, że między temi dwudziestokilkuletnimi dziećmi była malutka subretka i jeszcze mniejszy komik, których skala talentu dorównywała artystom normalnej miary.

Nic w tém zresztą dziwnego; w tych pomniejszych ludziach tylko fizyczność sprowadzoną została do *minimum*, skala ich moralnej istoty nie ucierpiała jednak na tém skróceniu całego organizmu.

Czytałem przed kilkoma tygodniami opis faktu, świadczącego o wysokiem poczuciu godności i honoru w tych liliputach, a zarazem i odwagi. Oto w mieście, w którym dawali przedstawienia, jakiś bogaty teatroman zaprosił malutkich artystów do siebie na wieczór; po kolacyi jeden z gości zaczął którąś z miniaturowych artystek traktować jak dziecko w sposób niewłaściwy względem panny na wydaniu. Wtedy najodważniejszy z karłów, oburzony tém postępowaniem, przyskoczył do niego, wspiął się na palce i siedzącemu wymierzył swą drobną rączką policzek, narażając się na zmiażdżenie pod kulakami obrażonego przeciwnika.

Awanturę zatłumiono w samém żarzewiu, ale lilipuci z wielką irytacją opuścili zebranie, wygrażając swemi malutkimi piastkami z miną obrażonych... atletów.

Teatr karzełków zakończy egzystencyę Teatru Wielkiego w dzisiejszym stanie; potem zacznie się wewnętrzna restauracya, rozszerzanie sali widzów, przez zniesienie jednego kurtytarza poza łozami, przebijanie ścian na nowe wejścia do krzeseł, urządzenie nowego foyer, podobno zaprowadzenie elektrycznego oświetlenia i zawieszenie żelaznej kurtyny dla bezpieczeństwa na wypadek pożaru.

Wszystkie te roboty zajmą ze dwa lata czasu, z tego powodu projektowanem jest przeniesienie baletu i opery podczas sezonu zimowego na letnią scenę w Ogródzie Saskim; drewniany budynek ma być w tym celu możliwie zaopatrzony, ogrzewany żelaznemi piecami, otulony ze wszystkich stron, aby można było siedzieć w nim bez narażenia się na katar, fluxyę, zapalenie płuc i gardła.

Zadanie to ciężkie i ryzykowne dla dyrekcji teatru, ale trzeba je rozwiązać pomyślnie dla miłości sztuki i... budżetu.

Bardziej zajmującą od repertoaru obu scen w tym czasie jest wystawa obrazów w naszym stałym Salonie i w Hotelu Europejskim. Nie łatwo mi być sprawozdawcą nowego dzieła, którego treść nawet opowiedzieć trudno, więc przechodzę mimo i zatrzymuję się przed płótnem innego malarza.

Na tejsamej wystawie znajduje się z niepospolitym talentem malowany obraz p. Wyczółkowskiego, twórcy znanej „Maryny Mniszechówny“, która poczynającemu artyście zjednała swego czasu pierwszy rozgłos i zwróciła na niego uwagę.

„Zwierzenia“, pomieszczone w salonie p. Krywulka, są jakby niespodzianką talentu, który miał chwile przyczajenia się, zdrzemnięcia, ugorowania, że tak powiem; naraz po dłuższej przerwie błysnął dziełem dojrzałym, pełnym śladów żywotności, świeżości, energii.

I niema tu nic wyszukanego, zrobionego, niema tematu krzyczącego; w tej naturalności i prostocie jest jednak wdzięk, który pociąga i zatrzymuje przed obrazem i każe wrócić do niego po obejrzeniu całej wystawy.

W eleganckim budoarze usiadły dwie przyjaciółki; jedna jest widocznie gospodynią, druga gościem, jedna swobodnie, *sans façon*, w szlafrocze o gorących barwach, w którym jej bardzo do twarzy, buja się w fotelu na biegunach i śmieje wesoło; druga w wizytowym stroju, z miną trochę zakłopotaną, trochę zawstydzoną, a dziwnie ujmującą przytem wszystkim, skończyła właśnie swoje opowiadanie i paluszkami wodzi po deseniach kozetki, na której siedzi. Dużo jasnego słońca, dużo powietrza, w tej budoarowej atmosferze, bardzo dużo prawdy i natury w obu figurach, dużo życia w całej scenie, a mnóstwo światła w kolorystyce.

Stajesz i zdaje ci się, że podsłuchujesz tajemnicę zmieszanej pani, zaczynasz się uśmiechać coraz weselej i masz ochotę na trzeciego przyłączyć się do tego *tête-à-tête* dwóch przyjaciółek.

Im dłużej się przypatrujesz, tem lepszego nabierasz humoru i przypominasz o „hotelowym dramacie“ wobec tej salonowej bluetki, mając ochotę wołać, jak na dobrej premierze:

— Bravo, bravo Wyczółkowski!.. bravo autor!..

Zapewne, że tu niema wielkiego i nowego pomysłu, że ta para ładnych kobietek gawędziła z sobą w zmienionej tylko pozie na tyłu innych obrazach i ilustracjach, że nawet tensam tytuł powtarzała się już tyle razy; mimo-to stary motyw zyskał w nowym obrobieniu, na wdzięku i na atrakcji.

Quis.

KWIATY WIOSENNE. *)

(Dokończenie)

Powój, roślina wdzięczna, jest przecież wiotką i potrzebuje mieć podporę dobrą, aby się nie osunąć w dół i nie pełzać po ziemi. O fantazyi też, choćby wysoko piąć się zdolnej — o samej sile wyobraźni, jeszcze duch ludzki górną się utrzymać nie może i potrzebuje dać jej ze stałszych przymiotów podporę. — Niech ją ma w miłości czystego piękna, które zwie się dobrem — niech ją ma w pożądanym celów, które zwracane są obliczem w słoneczną stronę cnoty i uczciwie spełnionego obowiązku, dotrzymanych mu wiernie słów: a w tedy uwieńczy ona szlachetnie życie nasze; da mu wdzięk nieprzemijający do chwili jego ostatniej — użyty barw palety swojej dla obrazów myśli czystych.

Wyobraźnia zdrowa jest niemal zdrowiem duszy. Człowiek bez wyobraźni, bez fantazyi, to jak kłoda martwa, którą żaden Maj nie zazienieni, kwiatem nie odkryje, przecież wzniosłość porwów ducha ludzkiego bynajmniej nie na fantazyi, nie na sile wyobraźni się zasadza. Powstają one z uczuć serca gorących, z uczuć serca silnych, i wtedy-to je rodzą — lilią białą z kielichem pełnym woni czarownej — prosto, na mocnej, na niechwiejnej łożysce ku górze strzelającą. To nie surowość, nie sztywność jest w wy-

prostowaniu jej bez nagięć żadnych. Linią taką ma każde doskonałe dążenie do celu, widniejącego nam wyraźnie przed oczyma i z każdej też duszy człowieka lilia taka wykwitnąć może, trzeba tylko, aby ideał stojący mu przed oczyma, nie samolubnego popędu siłą w górę strzelał, bo miłości własnej nie starczy na to, aby kwiat taki wydać. Siostra miłosierdzia, która u łoża konającego nędzarza stoi i, ukazując mu niebo, nadzieję tam zwysoka na ziemię sprowadza; matka ubogiej rodziny, która, dzień cały w pocie czoła na chleb dla dzieci pracując, wieczorem składa im ręce do modlitwy i, podnosząc wzrok ku górze, mówi im każe za sobą: — Ojciec nasz, który jesteś w niebiosach... to lilie białe.

Lilią białą jest francuzka dziewczyna w pancerzu stalowym, zasłuchana w głosach przemawiających do niej z wysoka — lilią białą rodzi wśród życia ludzkiego każdy czyn poświęcenia, dokonany bez zwrotu myśli na siebie, na swój interes, na osobiste widoki swe i nadzieje. Tęsknota za dobrem i pięknem czystym — to białe lilie dusz naszych; czyny poczytywne, niemające nam przynosić procentów wziętku żadnego: przebaczenie nieprzyjaciółom, niepamięć uraz, chrześcijańska miłość bliźniego w każdym człowieku, na drodze życia naszego stojącym — wszystko to kwiaty śnieżne — z wonią dającą nam okolice rajszych przypomnienie, i nie jest to bynajmniej twierdzeniem za śmiałem, że kobieta otrzymała od Boga przywilej rozsiewania ich po drogach, polach, ogrodach ludzkości. Uczuciowość kobiety na to — na ten cel została jej dana i każda przynosi ze sobą na świat tę misję słodką. W rodzinie, na grzędzie domowej każda jedna choć lilią białą wyhodować może, a wtedy ileż ich będzie — tych kwiatów białych poezyi i ideału, z kielichem wonnym prosto ku górze się wznoszących! Dziecko, tu wychowane, uniesie ze sobą w świat kwiatu tego wspomnienie — uniesie coś jego woni, w pierś z oddechem wciągniętej, i nie raz potem człowiek, trudami życia spracowany, gdy spotka się wśród życia z obrazami idealnego piękna — z kwiatami poświęconej miłości, dobroci, tkliwości serca, przypomni sobie matkę i dom rodzinny, a wzruszenie serca, którego dozna wtedy, to najwdzięczniejszy kwiat nagrody, jaką matka ta odbiera.

Lecz dostaje ona i inną jeszcze. Rzadkokiedy syn matki takiej pokocha źle — nisko. Jeżeli niekiedy gwałt namiętności spęta go i w niewolę sobie zabierze, to wspomnienie na matkę swą — lilią białą, przyjdzie mu z pomocą, aby walczył i zwyciężył — odzyskał wolność serca utraconą. Kwiat paproci — to kwiat cudu i jedynie dla wybranych w północ świętojańskiej nocy zakwita. Kwiat to poezyi i Bóg tylko kwiaty takie sieje; nie każdy też rwać je zdoła, ale woń ich powietrzem płynie i każdy może jej w pierś zachwycić, wciągnąć z oddechem, w głąb swoją wziąć i gdyby to ludzie, pragnieniem takim wiedzieni, szli choć po to tylko w las czarnoksiężki nocą objawień cudownych, — gdyby matki niosły tam na ręku synaczków swoich, gdyby żony wzywały tam mężów, siostry braci! Mężczyźni dana została wśród życia praca ciężka i surowa. Poza domem, bez słońca uchrony jego dachu, orze on rolę, siejbe w grunt rzuca, spuszcza pnie drzew na podwaliny mieszkań rodziny, a wszystko to praca znojna, wśród której męczą się ciała i duchy, kobiety też, które tylko domowe trudy ponoszą — kobiety, które mają więcej chwil cichości i odpoczynku, gdybyż w urozyste nocy tajemnic i objawień wiodły, zmęczonych na napojenie sobie piersi aromatem cudownym! Żona może mieć moc wielką nad duszą męża, bo ona jest miłością jego życia — życia jego idealną stroną: stroną uczucia. Niech, znój z jego czoła delikatną, miękką ręką ocierając i do piersi jego miłostnie się przytuliwszy, szepcze mu słodkie słowa miłości, wśród których przypominałaby się spracowanemu młodość jego i jej obietnice, przysięgi składane; niech mu opowiada jak w nim ukochała miłość szlachetną, a nie zagrębną on duszą i ciałem w warsztatowej tylko pracy na chleb. Żona bierze sobie połowę duszy męża, i ważna to rzecz na szali jego losu, jaki sobie z tego użytek zrobi? Parobek pracujący na jej wygody, na

elegancją pieśczonej jej dzieci, nie zatęskni za wonią kwiatu paproci i czasem tylko westchnie smutno za dawnych pragnień wspomnieniem.

Kobieta może siać te kwiaty poezyi w prozę życia powszednią — w powszednią pracę na chleb. Skromne te kwiaty, które między zbożem na polu rosną: blawatki i maki polne, to słodki uśmiech żony, gdy mąż spracowany do domu na odpoczynek wraca, to jej tklawe przytulenie mu się do piersi i staranne zaciągnięcie kurtyny, poza którą kryją się drobne domowe dolegliwości, proza życia nieunikniona, ale która jemu nie powinna już zaciężyć, bo ma on i bez tego dość rzeczy takich na własny dział robotniczej swej pracy dźwigać. Nie przestarzeje się nigdy wyrażenie Jana Pawła Richtera, że kobieta, to promień słońca, który się wkłada przez szczelinę grubych kazamat pracy mężkiej do kącika zostawionego dla poezyi. Gdzie tak jest — jest spełniony najpierwszy obowiązek kobiety — obowiązek jej miłości i jest ona wtedy, ta jej miłość tklawa, słodka — blawatkiem, kwitającym w zbożu. Maczek pasowy, kwiatek nietrwały, ale ponętny, to wesołość kobiety, która daje chwile zapomnienia, ożywiając jednostajność życia barwą swą jasną i ciepłą. Groszki z drobnutkim kwiatkiem wonnym, figlarnie spinające się koło kłosów, to coś jak te uciechy domowe, te drobne uczyt rodzinne, któremi dobra, przywiązana żona umie rozweselać głuchą prozę codziennego istnienia.

Ostróżki i stokrotki, już w klombach koło domu hodowane, to obcowanie towarzyskie ludzi z ludźmi. Jest wonny, wdzięczny kwiat przyjaźni — szlachetny kwiat z aromatem najśłodszym może — ale to już co innego: zwie on się heliotropem, to jest kwiatem słońca, i poi duszę balsamiczną wonią, słodczy nie wypowiedzianą, a jest o nim podanie, że od złych upoków broni — bo sam jest urokiem dobrym. — Świętym jest na ziemi, kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętymi! — woła Mickiewicz i prawdziwie tej życie nie zaprzeczyło nigdy, są przecież między ludźmi stosunki życzliwe, które tyle nie dają i tyle wzięć nie potrzebują, co przyjaźń, przecież upiększają życie i są życzliwości ludzkiej dla nas dowodem. Człowiek potrzebuje drugiego człowieka, aby nie stał się pośepnym i zamkniętym sam w sobie, jak zwierzę dziki w kniei. Potrzebna mu jest wymiana myśli, ścieranie się pojęć — potrzebną mu jest wreszcie rozrywka, która powinna przyjść po pracy, bo inaczej człowiek stężałby w pancerzu obowiązków, w zbroi życia twardej. Jest przypowieść stara, że kogo Bóg kocha — kochają go i ludzie, co znaczy: że uczciwość, prawość charakteru, dobroć serca, zaliczona do obowiązków człowieka, który jest czysty przed Bogiem — zaskarbia sobie miłość ludzką, i tak być powinno. Towarzystwo obcowanie z ludźmi cywilizuje nas, ściera ostre kany natury naszej, zawsze w gruncie coś samolubnej — urozmaica, uprzyjemnia życie, rozszerza poglądy nasze, i do kwiatów życia zaliczyć to trzeba, jeżeli człowiek umie sobie wytworzyć koło życzliwych mu i miłych dlań ludzi. Za to do najgorszych chwastów istnienia, pustoszących pole obowiązków naszych w rodzinie i narodzie — do perzu społecznego należy płochę, liche bez wyboru i smaku moralnego zawiązywane stosunki, z celem obustronnym — zabicia czasu.

Głęboko filozoficzem jest właśnie to wyrażenie. „Zabija się czas“, czyli część jakiegoś istnienia naszego na takiej rozrywce jałowej, gdzie nie dla myśli, nie dla serca zyskać nie można. Ale zabija się zarazem coś świętejszego. Towarzystwo stosunki, bez wyboru, z łada kim zawierane, zabijają w nas uczucie godności osobistej, bo brudzimy sobie dusze, dotykając rąk nieczystych; przystajemy na przewrotność, dajemy jej sankcję, co najmniej wybaczenie, gdy obcujemy z przewrotnym, i człowiek taki — człowiek, który się bawi z każdym, byle się od nudów uchronić, — jest już na zły życia pochyloności, bo zatracił w sobie wstręt i pogardę tego, — co liche, co małe, więc musiał — musiał z konieczności zniżyć w sobie cześć dla cnoty, szacunek dla ludzi charakterów podniosłych, rąk czystych — musiał utracić coś z własnej dostojności ducha.

Perz to jest — ziele złe, do wypłeniczenia najtrudniejsze, które zagłusza zuchwale wszystko, co

*) W poprzednim numerze w tytule tego artykułu zamiast zimowe powinno być wiosenne.

obok niego rośnie i zagłuszyć też może — z soków żywotnych obrać wszelką szlachetniejszą roślinność społeczeństwa i nie tylko w pokoleniu jednym, bo wszakże wiemy, jak takie rzeczy ułatwiają życie ludzi słabych, natur miękkich, trzymają się gruntu, na którym raz wzrosną.

Nasiona wszelkich ziół i kwiatów, osypując się jesienią, opadają na łono matki ziemi i zakwitają też będą dla tych, którzy przyjdą po nas, a jest to błogosławieństwem i razem klątwą świata. Nieśmiertelność to jest ziemską myśl i uczucia ludzkiego — nieśmiertelność przedłużająca przez pokolenia myśli nasze i uczucia, wiary i miłości. Nie ta nieśmiertelność historii, przez którą bohater żyje w pamięci dziejowej, ale cicha, w milczeniu się spełniająca, która tworzy historię uczuć i idei, przenosząca je z pokolenia na pokolenie, i kwiat to jest, zowiący się nieśmiertelnikiem, który zakwita na grobach wszystkich ludzi, bo każdy z nas coś zostawia po sobie w postaci dobra, lub zła, a choć niewidzialne to jest i nienięte, żyje przecież jak część duszy naszej i żyć będzie przez łańcuchy lat, urodziwszy się z ziarenka uczuć naszych i myśli.

Poeta, wierzący w panowanie dobra i piękna — uważający je za nieśmiertelne bogactwo ludzkości, pisze w nieskłóconej harmonii uczuć swych i wierzeń:

Znikome kształty padną w życia boju,
Lecz to, co boskie, na fali błękitu
Wraca panować nad zmiennością bytu,
W wiecznej pogodzie i w wiecznym spokoju.

Maryla Ilnicka.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GA W A L E W I C Z A.

(Dalszy ciąg).

Przedewszystkiem nie zdradzać się przed nikim, ani przed żoną, ani przed siostrą lub bratem, ani przed ojcem — o, przed tym „starym“ za nie w świecie.

Jutro rozstrzygnie o wszystkim, jutro przyniesie radę i środki ratunku; do jutra zatem.

Wstał i chwiejąc się, jak pijany, zapomniawszy gaz zgasić w gabinecie, powłókł się na górę do siebie.

Na niebie już świtało...

Wsunął się cicho do sypialni, na palcach, aby nie obudzić żony i przy blasku wschodzącego dnia, który wązkami pasmami przedzierał się z poza zapuszczonych rolet w oknach, rozebrał się powoli i położył.

Nigdy mu w życiu nie ciążyły tak bardzo powieki i nigdy sen nie uciekał tak płochliwie od nich przy łaś szaleście, łaś szmerze, który dochodził z ulicy.

Jakieś majaczenie na jawie zastępowało ten sen głęboki, spokojny, sen sprawiedliwego sybaryty, w który zwykle zapadał, przytuliwszy zaledwie głowę do puchowego jaśka.

Czekał, przewracając się z boku na bok, tego nowego dnia, który miał rozstrzygnąć o jego losie i instynktownie obawiał się go; byłby wołał obudzić się za jakiś rok dopiero, a przez ten czas niechby się dokonywały wypadki bez jego udziału, bez jego wiedzy, aby nie potrzebował patrzeć na nie i łać sobie głowy nad wynalezieniem drogi wyjścia i środków odwrócenia katastrofy.

Opuszczała go chwilowa energia i wpadał w stan zniechęcenia, apaty, właściwej ludziom

lekkomyślnym, zaskoczonym wynikami swych własnych błędów i słabości.

Około południa obudził się z głową ciężką, jak po przepiciu, zgagę czuł w gardle, oczu otworzyć nie mógł; przesładowała go teraz senność i jakieś rozleniwienie w całym ciele.

Udawał sam przed sobą, że śpi jeszcze, aby tylko nie potrzebował podnieść się z łóżka i oko w oko stanąć z fatalną rzeczywistością.

Przez niedomknięte powieki patrzył na rozrzuconą pościel, niebieską, atlasową kołdrę zestębnowanym ogromnym monogramem, pomięte poduszki z haftowanymi wstawkami i przyglądał się temu z uwagą, obawiając się niemal odwrócić oczu, aby go nie opadły znowu zaczajone myśli o krachu.

Pani Wanda od kilku godzin bawiła już w pokoju dziecinnym, nie przeszkadzając mężowi w wypoczynku, nie przeczuwając nawet troski, która go przynębiała.

Śmiała się i dokazywała ze swymi pociechami, których od dwóch tygodni przeszło nie widziała; z rozkoszą oddawała się uczuciom macierzyńskim i bawiła się z Tonią i Wilusem przywiezionymi zabawkami, słuchając opowiadań bony o sprawowaniu się dzieci podczas jej nieobecności.

Nie chciało jej się uczesać i ubierać, pomimo spóźnionej pory; siedziała z niedbale upiętymi włosami, w swym koronkowym szlafrocuku, w niebieskich pantofelkach na bosej nóżce, tak, jak się zerwała z pościeli po zbudzeniu, aby najprędzej do swoich skarbów się dostać.

Tonię miała przed sobą na stole usadowioną, a Wilus co chwila zarzucał jej rączki na szyję, i jakby mu zamało było gościńców, przywiezionych przez matkę, dopytywał się uparczywie:

— A tatuś mi osobno co przywiózł?... co tatuś przywiózł, moja mamusi?... niech mamusia powie, zanim tatko się obudzi!... Tatko tak długo śpi?... dlaczego tak długo?... ja pójdę obudzić tatusia, co?..

— Nie trzeba, tatuś zmęczony.

— Może się już wyspał?

— Jak się wyśpi, to się sam obudzi.

— Eh, kiedy to będzie!...

Miał minkę zadasana, że mu nie pozwalali zbudzić tatusia, kiedy on taki ciekawy dowiedzieć się, co mu tatko przywiózł z zagranicy.

Lokaj zachodził kilka razy pod drzwi sypialni i wracał z oznajmieniem, że pan zawsze jeszcze „śpi, jak kamień.“

— Proszę pani, co zrobić?... od pana Grzysieckiego służący dwa razy już przychodził z listem, — pytał.

— Znowu od pana Grzysieckiego! — oburzała się pani Karolowa — a toż do rana gdzieś radzili z sobą w kantorze i już znowu przysyła!... to utrapienie. Niech Jan powie, że pana niema.

Nie mogła pojąć, jak można było nudzić tak długo temi szkaradnymi interesami i to zaraz po przyjeździe; nawet jej biednemu Karolowi wypaść się nie pozwalał!...

Niech poczekają.

Nie wiedziała o tém, że każda chwila była drogą i że mecenas od samego rana w swej kancelarii porządkował papiery i akta firmy Fattów, wyciekając jakiejś decyzji w powikłanych sprawach finansowej natury.

A tymczasem każda godzina niemal pogarszała sytuację, powiększała straty i zbliżała katastrofę i ruinę majątków cukrowniczych.

Tak niedawno jeszcze tensam Burakówek, który uważany był za bezdenny wór złota, z którego magazynów wysyłano ogromne transporty rafinady i mączki, który przechrwał się w swoich rachunkach, że bierze około 7 rs. za pud i dawać będzie ogromne, coraz większe dywidendy, teraz przy spadku cen zatrząsł się w swoich podstawach.

— Cóż pan chcesz — tłumaczył to Karolowi Grzysiecki — przeciągnęliśmy wszyscy strunę; produkcja w trójnósie się powiększyła, można by cukrem wysypywać drogi i sanna po nim jeździć. Musiało przyjść do reakcji. Czy nie powiedziałem?... czy nie mówiłem?...

Argumentów przybywało równo z faktami, wobec których jednak wszelka argumentacja pomagała tyle, co umarłemu kadzidło.

Liczby, drobniejące niemal w każdej nowej depeszy, cyfry fatalne, jak łobowe wieści, sprawiała wrażenie trzęsienia ziemi pod cukrowniami.

— Tracimy pół na pół! — wołano z rozpaczliwym łamaniem rąk, — koniec świata!... ginimy!... biada!...

Panika sądowego dnia padła na fabrykantów większych i mniejszych, gdy uczuli chwiejący się grunt pod nogami.

— Ależ to waryacya się czepia! — powtarzano — to skaramie Boże!... to okropne!

Chór głosów biadających, jęków, jak z łoża Prokrusta, syknących bolesnych, jak przy smaganiu plecią drucianą, mnożyło się ze wszech stron; byli tacy, co dostawali obłędu z tego wstrząśnienia, byli zrozwaczeni, którzy, spadając nagle ze stromej wyżyny powodzenia swego, uderzali głową umyślnie o kant i padali martwi albo rozbici zupełnie u stóp swoich piedestałów.

W pierwszej chwili nie chciano uwierzyć klęsce; oryentowano się, czekano, rozglądano wśród ruin i gruzów, nie mogąc się pogodzić z faktami dokonanymi.

Do tych ostatnich należał Karol.

Więcej od innych miał powodów moralnego zgnębienia, nie mając po wszystkich konferencyach z Grzysieckim i Fignerem, po zbadaniu rozmiarów i ewentualnych skutków klęski, żadnej już wątpliwości o stratach, które musiały podkopać jego skombinowaną fortunę.

Stracił ostatnią nadzieję wypłatania się z tej matni losu, stracił resztkę zarozumiałej wiary w siebie i od tej chwili zaszła w nim zmiana do gruntu.

Miał wrażenie człowieka na śmierć skazanego, któremu przeciętą została droga łaski.

Pogrążony w myślach, zaniemówił prawie, stracił pozornie wszelką wrażliwość, odsunął się od wszystkich, widok żony i dzieci stał mu się przykrym, nie do zniesienia.

Nie śmiał im w oczy spojrzeć.

Do ojca od przyjazdu swego się nie pokazał, cały czas trawił za domem, w kantorze widywało go tyle, co przebiegł szybko, nie zatrzymując się ani chwili, rzuciwszy zaledwie okiem na stosy listów i rachunków, składanych na biurku.

Chwytał za kapelusz i drugimi drzwiami znowu umykał.

Pędziło go coś z miejsca na miejsce, spokoju i wytchnienia nie dając.

Interresanci wyczekiwali na niego godzinami: kazał ich odsyłać do fabryki, z fabryki napowrót do kantoru; chodzili za nim napróżno, nie mogąc go schwycić po drodze.

Wysuwał się wszystkim, jak piskorz.

Jeden list tylko z emblematem szpileczki wziął raz do rąk, rozerwał szypko kopertę i przeczytał.

Był to bilecik Wili.

— „Cóż to? — pisała do niego — jesteś podobno od kilku dni z powrotem i nie przyszedłeś się nawet przywitać ze mną?...

„Gniewam się, bardzo się gniewam, na seryo się gniewam.

„Albo mnie przyjdiesz przeprosić, mój Panie, dziś jeszcze, albo... albo nie zobaczymy się tak prędko!

„Pamiętaj o tem. Węza nie trzeba drażnić.“

Zamiast podpisu, był tylko jej zwykły znaczek, przypominający pelzającą gadzinę, ale u spodu znalazł się konieczny dopisek:

„Czy pamiętałeś o moim dyademie?... czekam.“

Zaciął usta z niechęcią, bilecik zmiał i wrzucił do szuflady pod kluczem; w dawniej chwili przykrość mu sprawiało to pismo, które dotąd w normalnym stanie umysłu, odczytywał zwykle po kilka razy z boleścią, zastanawiając się nad każdym zdaniem.

Czem dla niego była teraz Wila, czem wogóle wszystkie kobiety ze swymi ponętami i pięknoscią!...

Jedna uparta myśl chodziła mu, jak sztyldwach, po głowie i powstrzymywała wszystkie inne:

— Trudno, trzeba skończyć, jak Jańsk!... — mówił sobie, przymykając oczy i wdrygając się na wspomnienie tego jedynego środka, który mu według własnego rozumowania pozostawał.

Wszystko inne nie prowadziło do celu, nie zabezpieczało od bankructwa, od wstydu, upoko-

zenia. od przegranej sprawy, którą z taką pewnością siebie prowadził dotychczas.

Tak, zamiar samobójczy rozwijał się w nim od chwili, gdy poznał, że nadaremnie byłoby wszelkie szamotanie się i sprzeciwianie losom.

— Trzeba skończyć, jak Jański! — szeptał mu w duszy jakiś zły doradca kuszącym głosem i naglił go do wykonania rozpaczliwego zamiaru. — Jedna chwila, jedno uderzenie parowego młota, jeden rzut rozpędowego koła i wszystko się skończy na wieki.

Można nawet tę śmierć upożyczyć nieszczęśliwym wypadkiem, aby nie ściągać na siebie podejrzeń samobójstwa...

Jedna chwila uratuje od hańby, od tyłu przejść i doświadczeń nad siły, od stawiania pod pręgierzem opinii publicznej.

Z temi myślami, pieszo, wbrew swemu zwyczajowi, poszedł do fabryki.

Dzień był pochmurny, dżdżysty, słońce miało się ku zachodowi, w warsztatach kończyły się roboty.

— Najdogodniejsza pora, — mówił sobie Karol — nie zauważą nawet mego zamiaru.. Tak, trzeba skończyć.

Wsunął się otwartą bramą na dziedziniec fabryczny, aby nie przechodzić przez kantor i nie obudzić podejrzenia swoją zmienioną fizyognomią i bladocią.

Skierował kroki wprost ku kuźniom i ku budynkom, gdzie się mieściła parowa maszyna.

Zdaleka posłyszał jej stukot i dech mu zaparło w piersi... Przystanął... nie śmiał iść dalej, jak gdyby ujrzał przed sobą czuchającego potwora, który lada chwila ma się rzucić na niego i zmiażdżyć go swemi żelaznymi ramionami.

Wahał się pomiędzy dwiema słabościami młodusznych natur, między odpowiedzialnością życia i obawą śmierci.

Ścisnął drżącą ręką swe spotniałe czoło i, nasaunawszy kapelusz na oczy, szybkim krokiem postąpił naprzód.

Przy wejściu do kuźni cofnął się nagle; nie spodziewał się już zastać większości robotników, a tymczasem ujrzał za węglem budynku liczną gromadę ludzi, skupionych dokoła człowieka leżącego na ziemi.

Zpośród chaosu tłumionych głosów dochodził płacz kilku kobiet i dzieci.

Instynktownie podszedł do najbliższej grupy, zwabiony narzekaniem.

Zauważono go w tłumie; robotnicy zaczęli zdejmować czapki i rozstępować się przed nim.

— Cicho, cicho tam!... pan dyrektor!... pan starszy!... usuniecie się.

Na osmolonych twarzach robotników znać było przerażenie i współczucie.

Stali z zakasaniem rękawami na zylastych rękach, przy fartuchach skórzanych, w łatanych kubrakach, w kamizelkach, jedni jak atleci, inni ze schorzałą twarzą, z przygarbionymi od dźwignia ciężarów plecami, w czapkach i bez czapek, tak, jak ich od pracy, od kowadeł i śrubsztaków, od warsztatów i maszyn, odwołał wypadek, który się wydarzył przed chwilą.

— A to proszę, łaski pana dyrektora, maszyna Koźlaka chyciła! — odezwało się kilka głosów objaśniających — nieszczęście się stało!... chłop ma złamane żebra i nogę... O, cisnęło nim tak o ziemię, że ledwie zipie.

— Posłali po felczera, ale toby po księdza lepiej.

— Dajcie ta pokój, przecie dycha jeszcze.

— A jakże, dychał... dużo tam z niego będzie.

— Co wy tam wiecie, ludzie!... będzie, co Bóg da i już.

— Usuniecie no się wedle pana dyrektora! — co to za zatracony naród!... gapi się i gapi, jakby nie wiedzieć co. Co za dziwota, nieszczęście ludzkie!.. A nie cisnęlibyście się tak, jak nieprzyjemniejąc było!...

Dwóch podmajstrzych z czapkami w ręku zbliżyło się do Karola i odgarniając zlepięte włosy ze spotniałego czoła, zaczęło zdawać mu relację z wypadku.

Słuchał ich, zmieszany, milczący, bledy, z oczyma w ziemię spuszczone.

Tłum się rozstał i stanął w półkole, uciszony, spoglądając, to ku leżącemu na ziemi człowiekowi, to ku swemu chlebodawcy.

Koźlak leżał nawznak z twarzą siną i bólem wykrzywioną, powieki miał spuszczone, usta mu drgały a przez zaciśnięte zęby wydostawały się jęki z chrapliwym, ciężkim i przerywanym co chwila oddechem.

Niebieski, płócienny kaftan, podarty na strzępy, odsłaniał nagą pierś, fioletoowymi sińcami pokrytą, kolano obdarte ze skóry aż do kości broczyło krwią, całe ciało biednego wyrobnika wstrząsały konwulsyjne dreszcze, przy których wracała mu chwilowa przytomność, a wtedy przejmującym do głębi głosem powtarzał tylko:

— O Jezu!.. o Jezu!.. dobiejcie ludzie, niech nie boli!.. o Jezu!..

Karol na ten widok odwrócił się z odrazą; w oczach mu pociemniało.

Cudze nieszczęście przywiodło mu na pamięć jego własny los; gdyby był kilka minut wcześniej się pospieszył, może na tem samym miejscu leżałby już jego trup, zamiast biednego wyrobnika z połamanymi żebrami.

Czyżby śmierć wzięła ten okup za niego?... czy chciała mu wskazać drogę, którą ma pójść, aby prędzej trafił do celu?... czy może los chciał wypróbować jego siły i stanowczość, stawiając mu na drodze taką niespodzianą przestrożę, — aby po raz ostatni zachować jego zamiary samobójcze...

W głowie mu wirowały myśli, w skroniach tętniła krew, w uszach szumiało tak, że nie słyszał nic co do niego mówiono; nie widział tej pary chudych, spracowanych, drżących rąk nieszczęsnej Koźlakowej, która, klęcząc przy mężu, wyciągała błagalnie dłonie to ku niemu, to ku niebu, wzywając ratunku i zmiłowania ludzkiego i Bożego.

Odwrócił się i bez jednego słowa, bez jednego spojżenia przeszedł, nieprzytomny prawie, jak lunatyk wśród oniemiałych robotników, daremnie oczekujących od swego pana objawu współczucia.

Oczy ich zwróciły się za nim, a pochmurne czoła sposepniały jeszcze bardziej.

Zaczęli kiwać do siebie głowami i wzdychać.

— A to żeby mu psa przyniosło, toby więcej pożałował! — odezwał się z tłumu jakiś głos i urwał nagle.

— Pst!... stulcie gębę, bo usłyszycie, — ostrzegali szeptem w gromadkach.

— To i cóż!... niech słyszy. Dawno mu się to należało, kiedy z ludźmi połudzku nawet obejść się nie umie. Jemu się zdaje, że człowiek to bydlę. Haruj mu tylko i pracuj!...

— Alboż wam nie płacą za to? — przerwał podmajstrzy więcej z obowiązku, niż z przekonania.

— Tfu!... z taką zapłatą!

— No, no!... zamknijcie sobie gębę.

W gromadce robotników stłumiony szmer nie ustawał.

— Zamiast pyskować, poszlibyście po nosze, — odezwał się tensam głos, który uśmierzał malcontentów — przecież nie można dać człowiekowi leżeć tu, jak Łazarzowi.

Kilku ludzi zbliżyło się do leżącego, i pochylając się nad nim, wołało mu nad głową:

— Koźlak, słyszycie jeszcze?... he?... odezwijcie się.

— Możecie mówić jeszcze, Koźlak?... boli was?..

— Gdzie mu tam gadać się zechce?... widzicie, że ledwie dycha.

Ktoś z tłumu zawołał:

— Skoknijcie-no który po młodszego.

— A prawda!.. po pana Krzysia. Musi, będzie gdzieś niedaleko; może u siebie. Hej, duchem, Franek, Walenty, ruszcie-no się, a żywo!

Dwóch ludzi wyrwało się z tłumu i popędziło ku bramie przez dziedziniec.

W tej chwili, niepostrzeżony wśród ogólnego zamieszania, Karol, z głową zwieszoną, jak delikwent na rusztowanie prowadzony wchodził do budynku, w którym rozlegał się miarowy stukot maszyny parowej...

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż w Maju 1890 r.

Podróż prezydenta Carnota do południowej Francji. — Wybory do Rady miejskiej Paryża. — Jeszcze p. Renan i jego książka „Przyszłość nauki“. — Blizkie wybory w Akademii Francuskiej i manifest z tego powodu p. Zolli. — Nowy dramat p. de Borniera: *Mahomet*. — Protest poselstwa tureckiego i wzbronione przedstawienie. — Dzwonny dramat p. Vacquerie *Futura*. — Bibliografia. Kobiety piszące we Francji.

Podróż prezydenta Rzeczypospolitej do południowej Francji i na Korsykę i wybory do Rady miejskiej Paryża: oto dwa główne czynniki, które poruszały całą tutejszą prasę w ciągu ubiegłego miesiąca.

Podróż prezydenta, jak już wiecie z waszych i obcych dzienników, odbyła się spokojnie i świetnie, bez żadnego z tak zwanych *incidents*, których tu zawsze można się spodziewać, skoro się wychodzi poza koło zwyczajnych wypadków. Myślę się: był też i *incident*, ale przyjemny, — umizg Italii, w postaci eskadry, posłanej umyślnie na pozdrowienie prezydenta na wodach wspólnego morza. *E sempre bene!*

Spokojnie też się odbyły i owe sławne wybory do rady miejskiej. Z wielkiej chmury mały deszcz. W 59 okręgach potrzeba głosować na nowo, bo głosowanie niedzielne, podzielone pomiędzy zbyt licznych kandydatów, tylko w 21 okręgach przyniosło wyniki stanowcze.

W przyszłą więc Niedzielę odbędą się dodatkowe i ostateczne wybory. Dziś można już miarkować, że skład Rady miejskiej nie ulegnie, jak się spodziewano — radykalnej zmianie: radykały, jak przedtem, wrócą w większości; jedynym wypadkiem jest przegrana Bulanzystów, którzy spadli bardzo nisko, bo przeprowadzili tylko jednego swego kandydata, chociaż zapowiadali, że zwyciężą wszędzie, gdzie zechcą.

Jednym ze szczególnych objawów tego dziwnego chaosu, który dziś zapanował w umysłach tutejszych ludzi, jest nowa książka p. Renana pod tytułem: „Przyszłość nauki“ (*L'avenir de la Science*). Złe mówię: nowa książka — bo, jak sam autor oświadcza na tytule — książka jest stara, (są to myśli z 1848 r.); tylko dziś dopiero wydana na świat i opatrzona przedmową, o której zaraz będzie mowa.

Główny punkt — oś, około której obraca się całe rozumowanie tej książki, — jest to dość sprawiedliwa, chociaż pesymistyczna uwaga: jak mało z tego, co dotąd wytworzył umysł ludzki, z tego, co stanowi cały książkowy spadek wieków, — jak mało zostaje rzeczywiście godnego pamięci i uwagi!

Najsobtelniejszymi i najdotkliwszymi sarkazmy autor „Ksieni z Jouarre“ osypał tak zwany wiek złoty — wiek Ludwika XIV. Dostały się niemałe cięgi całej plejadzie pisarzy owego czasu: La Bruyère, Massillon, Jań-Chr. Rousseau, Boileau — mają się zypszuć; ale kto głównie tej chłocie uległ — to Bossuet. Orzeł z Meaux tym razem w rękach p. Renana zostawił najpiękniejszą swą piórą. — Co za książka! — woła ze zgrozą autor — co za książka! Wielki Boże, co za książka, ta *Historia powszechna*, przedmiot konwencyonalnego uwielbienia, dzieło zacofanego teologa, mające uczyć naszą liberalną młodzież filozofii historii! Oburzenie moje nie ma miary, kiedy widzę, jak usiłują z tej ciężkiej i wszelkiej krytyki pozbawionej myśli siedemnastego wieku stworzyć wzór absolutnej piękności.

Rozdział książki poświęcony temu autodafe powszechnemu klasycznym pisarzom, ma za tytuł *Resignation à l'oubli*. Ale wskutek jednego z tych zbroczeń właściwych p. Renanowi — nie do umarłych on i pogrzebanych od dwóch wieków pisarzy zwraca swoją homilią, ale do mistrzów nowożytnych współczesnych i żyjących i z we-

stehniem zdaje się mówić: „Kolledzy, gotujmy się na śmierć!“

Ale mniejsza o to — książka ta, chociaż to dzieło młodości znakomitego pisarza — nie traci nic i dziś nawet ze swej wartości. Jest to jakby pierwszy posiew tego, co wydało z czasem ten plon tak bujny, tak obfity, gęsty, jakby las jaki utworów jednego z najznakomitszych sceptyków naszego wieku we Francji — sceptyków? czyż nim jest w rzeczy samej ten proteusz myśli, spokojny i uśmiechnięty i zadowolony z losu.

Jutro, to jest 1 Maja, odbędą się wybory w Akademii Francuskiej na członka, mającego zająć fotel wakujący po śmierci nieodżałowanego E. Augiera. Konkurencja jest szalona. Dawno nie widziano podobnej liczby kandydatów: na jedno miejsce aż trzynastu idzie do szturmu, a kiedy powiemy, że wyborców jest trzydziestu ośmiu, i to niespełna, można się spodziewać, że trzy czwarte kandydatów zostanie w cieniu.

W liczbie współzawodników jest i p. Zola — i oto manifest, który ogłosił światu przez usta jednego z przyjaciół:

„Dwadzieścia lat dobiega, jakem założył węgielny kamień tego olbrzymiego gmachu literackiego, który się zowie: *Les Rougon-Macquart*; jeszcze trzy lub cztery lata, i mam nadzieję, że w 1894 r., gmach będzie skończony i Doktor Pascal uwieńczy to dzieło.

„Książka, która przyjdzie w ślad za „Bestyą ludzką“, będzie miała za tytuł: „Pieniądze“ (*argent*). Jacy będą bohaterowie, nie wiem jeszcze, ale mogę już zapewnić publiczność, że te osobistości, skoro tylko zostaną stworzone, ożywione, ubrane, — wprawię je w ruch, aby żyły wśród *interessów* giełdy.

Tłumaczając następnie plan tej swej książki, tak się wyraża co do kwestyi finansowej:

„Miałem zawsze niezmierną pogardę pieniędzy; młody, znałem, co to jest *czarna nędza* — nie przstraszyła mnie ona wszakże, i nigdy nie zazdrościł bogaczom; walczyłem długo, cierpiałem. Przyszła fortuna, przyjąłem ją, ale w miarę przychodu wydaję, milcząc, — i myślę, że pogarda pieniędzy ma za towarzyszkę rozrzutność.

„Sam jeden z żoną, nie mam kłopotów ojca rodziny, który musi zaokrąglać spadek swych dzieci, przychód idzie w ślad rozchodu — a okrutnie czynię zadość mej namiętności cacek i rzadkości. Zbieram szczególnie: kobierce, stare materye, starożytne makaty, jaskrawe zasłony i t. d.

„Prowadzę więc szerokie życie, a mój kasyer, którym jest moja żona, pozwala mi czerpać pełną ręką w mej kassie, ile potrzeba, aby mi pozwolić wszelkiej zachcianki artystycznej. Zarabiam grubo, ale też wydaję grubo, i nie znam wcale tego, co się zowie „ulokowanie kapitału“.

„Następująca po tej książka, będzie miała za tytuł: „*Wojna*“ — ogromny przedmiot, o którym pisano już w tysiącu tomach. Ja też mam na sercu traktować ten przedmiot — ale nie jako powieściopisarz, historyk albo filozof, — będzie to coś nowego. I wojna będzie epilogiem mojego dzieła, która obejmie całość społeczności naszego wieku.

„Co zaś do dwudziestego i ostatniego tomu: „Doktor Pascal“, ten nie ma prawie związku bezpośredniego z całością mojego dzieła — ale jest to hołd oddany wielkiej nauce człowieka, który, jak wiadomo — był bardzo nieszczęśliwym w życiu. A że we wszystkich powieściach moich starałem się zastosować jego naukową metodę, czuję się więc w obowiązku dług mój uściślić. *Klaudysz Bernard* był męczennikiem małżeńskiego pożycia: jest to mój bohater.

„Oto co mi do zrobienia zostaje, poczem będę używać odpoczynku, na który zasłużyłem, ile mi się zdaje. Pilno mi zakończyć mój zawód pisarski, — a więc muszę się śpieszyć.

„Pomyśl, że się zbliżam do pięćdziesiątki; za miesiąc lub za dwa, zakręglę sobie pół wieku. Jeszcze mi zostaje trochę męskości: chcę więc z niej skorzystać i śpieszyć się, — bo niedołęztwo (*gâtisme*) już za plecami“.

Pomimo ten manifest i pomimo wszystko, p. Zola jeszcze tym razem, jak się zdaje, nie wejdzie do Akademii. Ma on dwóch przeciwników, a raczej współzawodników: pp. Tureau-Dangin'a, historyka panowania Ludwika-Filipa, a już po

trzykroć laureata tejże akademii — i Lavissey'a — profesora Sorbony i autora: „*Studyów nad historią pruską*“, „*Trzech Cesarzów*“, *Etudes et Etudiants*. Pokaże się to jutro t. j. 1 Maja.¹⁾

W chaosie poeci główną odgrywają rolę. Mam tu *Mahomet*, dramat, przez autora „*Córki Rolanda*“, p. de Bornier'a. *Habent sua fata libelli*. Te 1800 wierszy, nad którymi — jak utrzymują świadomi rzeczy przyjaciele autora, p. de Bornier pracował całych 5 lat, gdyśmy je przeczytali w przeglądzie *Le correspondant*, wydały nam się niezasługującymi, ani na tyle honoru, ani na tyle wrzawy, ile spotykamy wokoło.

Najpierw na samo ogłoszenie, że dramat ten będzie przedstawiony *sur la premiere scène du Monde*! — (czytaj: „na scenie Teatru Francuskiego“) — ambasada turecka w Paryżu wzięła to za powód do żalenia się na profanację, z tym — jak powiadają — argumentem, że Francuzi nie pozwoliliby wyprowadzać na scenę Jezusa Chrystusa? Na co mu Piłat-Spüller miał odpowiedzieć: — „Patrz WPan, co się dzieje w cyrku zimowym“. Wszakże dla spokoju, rząd zabronił przedstawienia *Mahomet* w Teatrze Francuskim, a w epilogu tej sprawy poważny „*Le Temps*“ dodaje autentyczne słowa sultana do p. de Montebello, ambasadora francuskiego w Konstantynopolu: „Jest to zręczne postanowienie z waszej strony, boście w ten sposób ukoili drażliwość muzułmańskich swoich poddanych“. Jedno, co usprawiedliwia sultana, to ta okoliczność, że Padyszach, oczywiście, nie czytał p. Bornier'a

(Dokończenie nastąpi).

Warszawskie towarzystwo jedwabnicze.

Założona w r. 1853-im a zatwierdzona w r. 1855-tym na lat 30-ci spółka jedwabnicza, której promotorowie należeli do cenniejszych obywateli kraju naszego, skończyła swój żywot w r. 1885-tym.

Nie mogąc, w skutku nieprzyjaznych okoliczności stworzyć przemysłu, który i w takiej Francji sto lat walczył z trudnościami, spółka z przemysłowej, jaką ją stworzono, zamieniła się w ostatnich dziesięciu latach swego istnienia na niebezpieczne narzędzie propagandy jedwabnictwa.

Członkowie jej, pragnąc przedłużyć to działanie, przyjęli na trzech ostatnich ogólnych zebraniach projekt ustawy dla nowego Towarzystwa jedwabniczego, ułożony przez radę nadzorczą spółki, przekazując mu swoje cele, uzasadnione nadzieje i całe mienie spółki dla tem skuteczniejszego dalszego działania.

Zatwierdzona przez rząd w d. 29-tym grudnia r. 1889-go *ustawa warszawskiego Towarzystwa jedwabniczego* określa cel Towarzystwa jako popieranie rozwoju jedwabnictwa w kraju tutejszym, wszelkimi nadającymi się do tego sposobami, jak: rozpowszechnianie morwy, dostarczanie żądającym zdrowych jajeczek jedwabniczych, zakupywanie wyprodukowanych kokonów, dawanie wskazówek odnośnego postępowania zapomocą druku we wszelkiej formie, odczytów, pogadanek. Towarzystwo ma prawo urządzać wystawy, udzielać medali, listów pochwalnych i innych nagród, używać własnej pieczęci, nabywać potrzebne mu nieruchomości, wyznaczać korespondentów z główniejszych ognisk jedwabnictwa krajowego i t. p. Członkami Towarzystwa mogą być osoby pełnoletnie bez różnicy płci

i stanu (z wyjątkiem uczniów szkół publicznych, niższych wojskowych i skazanych sądownie). Członkowie *rzeczywiscie* wnoszą rocznie składkę rs. pięć lub rs. sto raz-na-za-wsze, z jednorazowem wpisowem rs. jeden; członkowie *protetktorowie* wnoszą jednorazowo najmniej rs. trzysta; członkowie *honorowi*, wybrani z liczby osób szczególnie jedwabnictwu zasłużonych, nie opłacają żadnych składek. Wszystkim trzem kategoriom członków równe służą prawa, do których należą: nabywanie po niższej cenie wszelkich potrzeb jedwabniczych, oile je Towarzystwo w danej chwili zaspokoić może; bezpłatny wstęp na wykłady o jedwabnictwie i na wystawy urządzone przez Towarzystwo; otrzymywanie bezpłatne wydawnictw własnych przez Towarzystwo dokonywanych itp. Właściwe paragrafy ustawy określają zakres i porządek działania zebrań ogólnych, wybory, obowiązki i skład zarządu i tym podobne szczegóły organizacji wewnętrznej, oraz stosunek z władzami.

Osoby, chcące popierać jedwabnictwo, o którego dodatnich moralnych i ekonomicznych wynikłościach nigdzie już nie wątpią, którego możliwość istnienia w naszym kraju dowiedziona jest przez naukę i praktykę ciągle wielu osób, — zechcą się zgłosić do jednego z podpisanych założycieli Towarzystwa i upoważnionych do zbierania składek za pokwitowaniem oraz udzielania exemplarzy ustawy Towarzystwa.

Jerzy Aleksandrowicz, b. dziekan uniwersytetu warszawskiego, prezes Towarzystwa Ogrodniczego, dyrektor muzeum przemysłu i handlu, Smolna nr 28; Jan Banzemer, magister prawa i nauk ekonomicznych, urzędnik warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń, Maryenstadt 4; Emiljan Broniewski, naczelnik kancelaryi warszawskiego kantoru banku państwa, Elekoralna 2; Aleksander Łapiński, obywatel, Nowy-Swiat 68; Wiktor Magnus, dyrektor Towarzystwa „Merkury“, Hoża 32; Aleksander Makowiecki, dyrektor Towarzystwa kredytowego m. Warszawy, Chłodna 10; Antoni Nagórny, b. vice-prezes b. Banku Polskiego, Mazowiecka 4; Józef Sikorski, b. redaktor „Gazety polskiej“, dyrektor b. spółki jedwabniczej, Marszałkowska 153.

Kronika działalności kobiecej.

— Pisma petersburskie donoszą, iż nowa ustawa lekarska przyznaje kobi etom lekarkom tesame prawa, które przysługują mężczyznom, tak w praktyce lekarskiej, jak i w zajmowaniu posad przy instytucjach rządowych i prywatnych.

— W Petersburgu otwartą będzie wkrótce przez ministerium oświaty przenośna szkoła handlowa dla kobiet.

— Na szkołę rzemieślniczą w Wilnie ofiarowała p. Rozental 20.000 rs.

— P. Alina Lippe-Lipska zamówiła w warszawskim Salonie Artystycznym sześć obrazów treści religijnej, przeznaczonych do nowo budującego się kościoła w parafii Marienhaus w Witebskiem.

— W Komissyi obralującej nad przeniesieniem szpitala Dzieciątka Jezus na folwark S-to Krzyżki i urządzeniem tam budowli gospodarczych, zwłaszcza kuchni i pralni, zasiada Felicya Wojno, siostra miłosierdzia.

— W przytułku dla ubogich dziewcząt, mieszczącym się przy ulicy Hożej, wychowuje się 37 dziewcząt, najmłodszych spośród wychowanek Towarzystwa Dobroczyńności, a przyjmowanych tam, poczynając od skończonych lat trzech. Skoro wychowanki dojdą do lat dwunastu, zarząd To-

1) Akademia Francuska, nie mogąc się zgodzić na wybór, odroczyła nominację *nieśmiertelnego* na pół roku.

warzystwa przenosi je do głównego przytułku na Krakowskim Przedmieściu. Utrzymanie roczne wychowanek w przytułku przy ulicy Hożej kosztuje rocznie przeszło 3.000 rs. Opiekunką główną Przytułku jest p. Marya Józefowiczowa (opiekunem p. Tomasz Dybowski). Na wizycie generalnej obok trzech delegowanych przez Towarzystwo brały udział trzy opiekunki: hr. Klementyna Łubińska, Marya Roesler i Franciszka Dynowska. Obok zakładu jest ogród gdzie dziewczynki przepędzają znaczną część dnia.

— W szwalni Towarzystwa N-r 5 (przy ulicy Czerniakowskiej) której główną opiekunką jest p. Anna Szejblerowa a przewodniczką p. Ludwika Benni, odbyła się wizyta generalna. Oprócz miejscowych opiekunek czynnych, p. p. Ludwiki Benni i Bronisławy Sobolewskiej, przytomnymi byli delegaci Tow. Dobroczynności. Wizytatorowie wyrazili szczerze podziękowanie tak p. p. opiekunkom, jak dozorczyńiom, p. p. Szymańskiej i Madejskiej, za dobry kierunek zakładu i wzorowe go prowadzenie. Uczęszcza do szwalni dziewcząt 100.

— Projekt przytułku poprawczego dla dziewcząt moralnie zaniedbanych, opracowany przez Towarzystwo Osad Rolnych, został przez rząd zatwierdzony. Urzeczywistnienie tego miłosierdnego zamiaru, za który ogół nasz powinien być wdzięcznym Towarzystwu, zależy od poparcia, jakie Towarzystwo otrzyma w postaci złożonych na ten cel funduszy.

— Kwestya sklepów wiejskich i małomiasteczkowych, zakładanych przez kobiety, zaczyna poruszać umysły i układać się szczęśliwie. We wsi Sędziszewie (stacya Drogi Żelaznej-Dąbrowskiej) miejscowy pisarz gminny, Piotrowicz, założył sklep taki dla żony swojej i jej siostry. Mimo silnej konkurencji dawniejszych sklepów można liczyć na szczęśliwe powodzenie zakładu p. Piotrowiczowej, tak z powodu, że jest prowadzony uczciwie i starannie, z drugiej, że poparcie okolicznych właścicieli z klasy inteligentnej daje mu należne poparcie.

— P. Zygmunt Gloger podniósł za pośrednictwem „Kuryera Warszawskiego” w artykule „Błędne Drogi” ważną kwestyą w zakresie pracy kobiecej. W Warszawie jest natłok kobiet, szukających pracy zarobkowej, zwłaszcza swacek, aż do wytworzenia „godnego litości proletaryatu”, na wsi zaś trudno jest znaleźć wyręczycielkę pani domu w pracy gospodarstwa kobiecego, znającą się na jego rzemiosłach i zajęciach rozmaitych; na obchodzeniu się z nabiałem, urządzaniu wędlin, pieczeniu ciasta, wyrabianiu przetworów owocowych i dalej: na hodowli drobiu, na hodowli trzody chlewnej, urządzaniu ogrodu warzywnego. Jeszcze w pokoleniu poprzedzającym nasze takie wyręczycielki lub zastępczynie — pomocnice pani domu nie były rzadkością; wprawdzie dodać tu trzeba szczegół, pominięty przez autora artykułu, że wtedy znały się na tych zatrudnieniach pracy domowej same panie i nierzadko wykształcały pod kierunkiem własnym te pracowite wyręczycielki swoje, jakich dziś niema. Przy ułatwionej komunikacji młode dziewczęta gromadnie wiesz opuszczają, przenosząc się do miasta — do Warszawy głównie, gdzie praca wydaje im się przyjemniejszą i opłacającą się lepiej — gdzie zwłaszcza nęci swoboda i niezależność i, jak dodaje autor artykułu, łatwiejsze znalezienie męża, przedstawiającego warunki jakoby podniesionego stanowiska społecznego. Że jest w miastach nadprodukcya pracy kobiecej, a głównie między swaczkami, których liczba jest też największa — że to skazuje je na życie walczące z nędzą, teraz szczególnie, przy rozpowszechnieniu maszyn do szycia, — to rzecz niewątpliwa. Wpływa to i wpływać musi na upadek moralności pracownic miejskich, gdy z drugiej strony brak pomocnic w zajęciach gospodarstwa kobiecego spowodował jego upadek, więc upadek pracy kobiecej w tej ważnej gałęzi, co w następstwie zmniejsza i zamożność rodzin.

Jak oddziaływać przeciwko temu, co — dodać trzeba — jest ogólnym złem wieku i powtarza się wszędzie? Nie oglądając się przecież jak jest

gdzieindziej, należy u nas z tem walczyć i podnoszący te kwestyę proponuje oddziaływanie za pośrednictwem książki — to jest książeczki, któreby nie przemawiała jako poważny moral, ale podawała go w formie obrazowego opowiadania, jakie są pożytki uczenia się gospodarstwa domowego i życia w swoich stronach, wśród rodziny i swjaków — na swoim gruncie z dodatkiem opowieści, jak to zagranicą kobiety bardzo zamożne nie uważają sobie za ujmę pracowitych zajęć gospodarczych. Że znaczyłyby tu niezmiernie wiele, może najwięcej przykład dobry ze strony pań — nie ulega wątpliwości, bo wtedy, gdy panie same, gospodarowały osobiście, zawód ten nie wstydził córek ekonomów i innych dworskich, które jak gdyby w porządku rzeczy stawały się pomocnicami głównej gospodyni. Niemniej środek oddziaływania przeciw złemu, wskazany przez p. Zygmunta Glogera, jest niewątpliwie dobry i zasługujący na uwagę, powtarzamy go też dla czytelników naszych: — „Nie wątpimy, że gdyby ogłoszono konkurs na taką książeczkę, niejedna z gospodyń wiejskich napisałaby w powyższym rodzaju rzecz dobrą, tak jak na konkurs „Bluszczu” p. Kowerska napisała w ustroniu wiejskim cenne dzieło o „Wychowaniu macierzyńskim”.

— Prassa górnośląska uskarża się na kobiety stron tamtych, że one-to przez chwytnie się obyczajowi i przyjmowanie kultury i języka niemieckiego, zacierają wśród ludu swego odrębność plemienną. Jedno z pism tamtejszych zagraża kobietom, że jeżeli stan taki się utrwali, to będą musiały pozostać w życiu samotnymi, bo mężczyzna, niechęć aby rodzina jego stawała się niemiecką, nie zwiąże się z taką kobietą ślubem małżeńskiej przysięgi — nie uczyni jej matką dzieci swoich.

— Na koncert dany w Wiedniu z celem pomnożenia środków pomocy dla dotkniętych głodem włościan Galicji, sto pań wzięło bilety. Na loteryę fantową urządzoną przez panie krakowskie z takim też zamiarem nadesłała jako fanty, własnoręczne wyroby królowa Natalia serbska.

— Księżna Karolina Lubomirska ofiarowała na rzecz lwowskiego stowarzyszenia rzemieślniczego *Gwiazda* 10.000 zł. reń. Procenta od tej summy przeznaczone są przez ofiarodawczynią na wsparcia dla niezamożnych robotników.

— Na dorocznej wystawie sztuki w Paryżu zwracają uwagę publiczności obrazy p. Bilińskiej — portrety. Znajduje się między niemi portret amerykańskiego rzeźbiarza, człowieka młodego i dorodnego. Przedstawiony on jest wśród pracowni swojej w ubiorze swobodnym, jaki zwykle okrywa artystów przy pracy — w bluzie. Misi on glinę, z której ma urobić wzór posagu, wdnijający w swoim pierwokształcie ledwo zarysowujących się form w głębi. Pomistrzowsku oddana jest energia wyłożonych przy tej pracy mięśni.

— Wyjątkowe powodzenie ma w Paryżu p. Helena Goldspiegel, warszawianka, która skończyła w roku ubiegłym studia medyczne ze stopniem doktora. Po otrzymaniu go udała się do Szwecji dla zbadania nowszych postępów masażu, poczem, powróciwszy do Paryża, lecz masażem wyłącznie kobiety podług metody Brandta i magnetyzmem według Ochorowicza.

— Na fakultecie medycznym paryżkiego uniwersytetu studująca pani Zofia Miropolska otrzymała stopień doktora medycyny po obronie rozprawy: „o grypie”. Razem z nią ukończył studia medyczne w tymże uniwersytecie mąż jej, Mirosław Miropolski, który bronił na doktoryzację rozprawy: „o artrytyzmie”. Małżeństwo to ma kilkoro dzieci. Ludzie są zupełnie niezamożni i zapytać się trzeba: czy pozadomowa praca matki w takich zwłaszcza warunkach może być dla jej rodziny zyskiem czy też stratą?

— Kobiet pracujących w zakładach przemysłowych i fabrykach jest obecnie: we Francji 4 miliony, w Anglii 4½ mil., w Niemczech 5 mil., w Austrii 3½ mil., tyleż we Włoszech — razem w tych krajach Europy, w których przemysł jest

najsilniej rozwinięty, pracuje 21 milionów kobiet przenosząc przeszło o 4 miliony liczbę pracujących mężczyzn. Niższa, niż mężczyźni, płaca kobiet sprawia, że fabrykanci zatrudniają chętniej kobiety i dzieci, niż mężczyzn i pod tym-to względem byłoby dla europejskiej rodziny wielkiem dobrodziejstwem, gdyby życzenia wyrażone przez berlińskie w tej sprawie konferencye doprowadziły do rezultatu, — aby kobiety nie pracowały w kopalniach i nie pracowały w nocy. Zastąpili by je mężczyźni z wielką korzyścią dla rodzin, dla moralności, dla zdrowia publicznego, gdyż robotnica odbiera siły i czerstwość potrzebną matce, aby dziecko przychodziło na świat z dostatecznym sił zapasem.

— Ida Kettler, Niemka przewodnicząca stowarzyszeniu założonemu w Niemczech w 1888 r., z celem wyszukiwania i wskazywania kobietom potrzebnych dróg pracy, „Deutscher Frauenverein” wydała broszurę: „Co będzie z naszych córek?” (Was wird aus unseren Töchtern?) Domaga się w niej ona, aby średnie szkoły żeńskie nie różniły się programem i zakresem wykładów od szkół męskich, a to z przyczyny, aby następnie nie utrudniało to kobietom wstępu do uniwersytetu, a z kolei i zdobywania sobie zawodów naukowych na równi z mężczyznami. Elsa Mayer, Bawarka, zapowiedziała przez niemieckie czasopismo dla kobiet, że rozbierze pracę Kellerowej tak ze stanowiska danych moralnych, jak praktycznych stron zajmowania przez kobiety urzędów i posad naukowych, które dotychczas zajmowali głównie mężczyźni. Konkurencya pracy kobiecej wywoła brak środków utrzymania wśród znacznej liczby mężczyzn i wtedy zmniejszy się w tym samym stosunku liczba małżeństw, albo stroną pracującą poza domem będzie kobieta, mężczyźni zaś przypadnie w udziale zarząd domu i wychowywanie dzieci, czyli prawa natury, rządzące dotąd ludzkością, zostaną w takich małżeństwach wywrócone nawspak. Zaraz wkrótce Lina Voss z Berlina odpowiedziała także broszurą: „Położenie panny z klas inteligentnych, jeżeli za mąż nie pójdzie?” Żadna z nich za lat młodości swojej nie wie, czy ją los taki nie spotka — pisze autorka. Nie wiedzą tego również rodzice, pragnący zabezpieczyć przez wychowanie przyszłość dzieci swoich, wśród czego ważną rzeczą musi być troska, aby córki ich zdołały utrzymać się w warunkach możliwej pomyślności wtedy nawet, gdyby za mąż nie wyszły. Są przecież głosy dowodzące, że najczęściej zostaje starą panną właśnie, która przed tak przewidywaną przyszłością zbyt się obwarowywa i przez to schodzi ze szlaku owych prac i usposobień kobiecych, przy których może jedynie spełnić wśród rodziny rolę swoją małżonki i matki.

— W Berlinie była od pewnego już czasu wolną słuchaczką wykładów w chemicznym laboratorium profesora A. W. Hofmanna młoda panna; przecież w uniwersytecie berlińskim poraz pierwszy ukazała się w ostatnim tegorocznym semestrze między słuchaczami medycyny kobieta — także dziewczyna młoda, co zwróciło o tyle uwagę ogólną, że organ studentów: „Akademische Blätter” rzecz podniósł, donosząc w sposób uszczypliwy, że na wykładach D-ra Olshausen, z których robiła staranne notatki, musiała jako niższa wciąż stać. Wogóle, i to nie tylko w Niemczech, studenci, zwłaszcza medycyny, zachowują nieprzychylną względem koleżanek swoich postawę. Kwestya konkurencji w przyszyłym, chleboodajnym ich zawodzie zaczyna więc rogi swoje już nadstawiać i można też zawołać tutaj, że są to rzeczy opłakane — ta zazdrość zarobku, już rozbudzona w tak młodym wieku.

— W Meranie D-r Klara Schreiber miała odczyt publiczny z założeniem: „Kwestya zarobku kobiety na życie” (die Brotfrage der Frau). Prelegentka scharakteryzowała silnie znaczenie kwestyi zarobku kobiecego, wobec czego, jak dodaje, nie braknie nigdy wycieczek przeciw tym pracującym ciężko na możliwość uczciwego istnienia w życiu ze strony kobiet szczęśliwych, używających opieki męża i żyjących z jego pracy, a przecież niezawsze odpowia-

dających poważnym obowiązkom, jakie wkłada na nie małżeństwo.

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu zdecydowaniem zostało otwarcie wzorowych warsztatów rzemieślniczych po miastach i wielkich wsiach przemysłowych.

— **Spis ludności** państwa, przygotowany w Petersburgu przez ministerium spraw wewnętrznych, ulegnie zwłoce z powodu rozszerzenia pierwotnego planu i ztąd potrzeby zwiększonych funduszy.

— **Miejsce Kustosza** gabinetu zoologicznego po ś. p. Taczanowskim, objął Majer, dotychczasowy asystent wydziału medycznego przy uniwersytecie warszawskim.

— **Warszawa** liczyła z początkiem bieżącego roku ludności 484.537 osób. W tej liczbie mieszkańców stałych 246.945 (mężczyzn 118.955, kobiet 127.990) Niestających było 208.907 mężczyzn 100.353 kobiet. Załogi 28.675.

— **Wonny Kwiat** „Arhum odoratum“ tak wonią swoją odurzył osobę śpiącą w pokoju, gdzie się znajdował (p. L. mieszkankę ul. Włodzimierskiej) że z trudnością przywołał ją lekarz do życia.

— **Rzeźbiarz** Kurzawa reprodukuje w terrakocie rozbity przez siebie grupę „Mickiewicza budzącego geniusza“ Ludzie prostoduszni pytają się: czy to nie geniusz budził poetę?

— **Z Fernando Po** pisze p. Stefan Szolc Rogoziński, że zamierza odbyć nową wyprawę w głąb wyspy dla zbadania wielkiego jeziora wody słodkiej, nigdy dotąd nie oglądanego przez Europejczyka. Nad brzegami tych wód nieznanymi przebywać nieznany także dla ludzi białych władca miejscowego pokolenia Bubisów, Moka. P. Helena Rogozińska (Hajota) postanowiła towarzyszyć mężowi i w tej wyprawie.

— **Afryka** była już trzynastą razą przemierzona wzdłuż i w szerz przez stopy białego człowieka. Pierwszym, który tego dokonał, był Livingstone; w ślad za nim poszedł Portugalczyk Silva Porto. W 1873 r. puścił się tam Cameron, Szkot; w 1874 raz pierwszy Stanley, w 1877 Serpa Pinto, Portugalczyk, w 1880 Włoch, Matycci, w 1881 kap Wismann i Szkot Arnott, który przedewszystkiem Afrykę wskroś od wschodu na zachód; 1884 r. dokonało podobnej wyprawy dwóch Portugalczyków: Ivens i Capello, oraz Dr. Lentz, Austriak, dalej w 1885 agent państwa Kongo porucznik Gleenrup. Wyprawy Stanleya i Eminy Baszy stały się na świat głośnie. Już po powrocie Stanleya z Afryki puścił się tam Francuz kap. Trivier.

— **Towarzystwo sztuk pięknych** w Krakowie powołało do dyrekcyi p. p. Dr. Karola Pieniążka, Alfreda Remera, z grona malarzy pp.: Alfreda Danna, Ant. Gramatykę, Józefa Unierzyskiego.

— **We Lwowie** rada miejska postanowiła 40-ma głosami przeciwko 21 wniesienie nowego teatru na Placu Halickim z powodu, że znajduje się on w środku miasta. Uważają przecie, że plac jest trochę za szczupły.

— **Doroczne posiedzenie** Akademii Krakowskiej odbędzie się d. 31 Maja.

— **Wydawnictwa naukowe Akademii** zwróciły uwagę Anglików i świeżo ukazała się w tygodni-

ku londyńskim, poświęconym sprawom literatury: „Harpers Weekly“ ocena tych wydawnictw z całego szeregu lat ostatnich z bardzo poważnie wyrażonym uznaniem dla ich kierunku.

— **Do czeskiego teatru** w Pradze „Narodne Divadlo“, zaproszony został na gościnne występy Zelazowski.

— **Na Morawach** zawiązują przemysłowcy tak jak i lud wiejski związek z celem solidarnej obrony przeciwko niemieczeniu się.

— **W Salonie paryskim**, to jest na dorocznej wystawie sztuki, wystawiono 2.480 obrazów olejnych, 952 rysunków, kartonów i pasteli, 1.196 rzeźb, 62 płaskorzeźb w medalionach, 150 planów architektonicznych, 461 klisz rytowniczych. Jest to jednak mniej, niż w roku zeszłym o 500 okazów. Sąd salonu jest surowy i niektórzy artyści urządzają sobie wystawę oddzielną (na Placu Marsowym). Z naszych artystów znajdują się w Salonie okazy Bilińskiej, Kowalskiego, Woj. Kossaka i Krzesza.

— **Zola** wystąpił jako kandydat do tytułu „nieśmiertelny“, to jest wystąpił z kandydaturą na członka Akademii Francuskiej. Wybory siedm razy się odbywające, spełzły na niczem. Zola nie miał na żadnym zebraniu więcej nad głosów 4 i to raz jeden tylko. Raz miał głos jeden tylko, dwa razy po dwa, trzy razy po trzy. Lotti (autor Rybaka Irlandzkiego) także talent wielki, ale tak też, jak Zola naturalistyczny, miewał ich więcej, bo jednak nie napisał nic takiego jak na przykład „Ziemia“ Zoli, jak jego powieść ostatnia, „La Bête humaine“. Francuskie dzienniki piszą, że Akademia już się chwiała wobec wykazywanej przed Zolę poczytności dzieł jego — liczby exemplarzy wybitych i rozkupionych, ale okazał się opór ze strony opinii publicznej, tyle było ostrych odezw w dziennikach — że cofnięto się i odroczone posiedzenie na pół roku. Potrzeba dla wyższej godności pisarza posiadać jeszcze coś więcej, niż talent — potrzeba tej uczciwości natchnienia, która się zowie ideą moralną. Choć trzeba dodać z kolei, że Juliusz Barbier, wysoko szlachetny, głębokiego talentu poeta, miał tylko

na jednym posiedzeniu — głos jeden! Cofnął się też po pierwszej próbie i miał słusność.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** podaje do wiadomości pp. budowniczych, iż w m. Styczniu 1891 roku odbędzie się w lokalu Towarzystwa Wystawa konkursowa architektury, a mianowicie wszelkiego rodzaju kompozycji w zakres budownictwa wchodzących. Nie kwalifikują się na wystawę wszelkie kopie i kompozycje autorów zmarłych na trzy lata przed otwarciem wystawy. Na wystawę konkursową przyjmują się kompozycje wykonane w ciągu lat trzech ostatnich, które poprzednio nie znajdowały się, czy to na Wystawie stałej Towarzystwa, czy też na innej wystawie w Warszawie. Tutaj objaśnia się, iż pod nazwą kompozycji rozumiane są projekta architektoniczne w rysunku, jak i fotografie z natury z dzieł architektonicznych już wykonanych. Deklaracje w formie listów Komitet Towarzystwa przyjmować będzie do dnia 15 Grudnia 1890 r. W deklaracji wymienić należy tytuł kompozycji, imię i nazwisko i dokładny adres autora, oraz krótką wiadomość o miejscu urodzenia i o tem, w jakiej szkole otrzymał specjalne wykształcenie. Kompozycje zaś winny być dostarczone do lokalu Towarzystwa przed 31 Grudnia 1890 r. — Komitet wyznaczył dla tej Wystawy trzy nagrody pieniężne z funduszy Towarzystwa po rs. 600, 300 i 200, za kompozycje bezwarunkowo odznaczające się. Regulamin czyli instrukcją szczegółową konkursu powyższego kancelarya Towarzystwa wydaje lub wysyła na żądanie bezpłatnie.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYNY i HYGIENY POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

Józefa Starkmana

Zeszyt VII wyszedł z druku i zawiera między innemi: Jąkanie, język, jod, Kalestwo, kalomel, kamfora, kanały, karbolowy (kwas), karbunkul, Karslbud, karmienie, kaszel, kataplazmy, katar nosa i t. p.

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincyi nadsyłać po rs. 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płacących z góry za całe dzieło: rs. 8, poczta rs. 9.50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda obok pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

TREŚĆ: Pogawędka. — Kwiaty wiosenne, przez M. Ilnicką. — Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gachwili. — Nowiny Paryżkie. — Warszawskie Towarzystwo Jedwabnicze. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 11-ty powieści, pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. — Przegląd mód. — 29 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 2 Мая 1890 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Czepeczek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 19.

Podstawka z białej petynетки 8 c. szer. z przodu a 2 c. szer. z boków otoczona drucikiem i wstążeczką połączoną w tylnym brzegu z denkiem z tiulu 15 cen. wys. a 16 cen. szer. W środkowym przednim brzegu ułożyć pukle podług ryc. z wstążki atlasowej ponsowego koloru i pokryć fałdźisto koronką 7 c. szer. Koronka w tylnej części spięta klamrą brązową 24 c. długości.

Czepeczek w wstążki i koronki.

Rycina Nr 7 w Bl. Nr 19.

Podstawka z petynетки 30 cent. dług.; szeroka w środku 7 cent. a po bokach 1½ cent., otoczona drucikiem i wstążeczką. Najprzód obszyć podstawkę materiałem jedwabnym koloru popielatego w deseń kolorowy 34 c. dług. a 4 c. szer., wykończyć podług ryc. wstążką różową aksamitną 3 c. szer. Wierzchnia część przybrana koronką 12 c. szer. i kokardą ze wstążki różowej aksamitnej, której końce ułożone w górnym brzegu popielatego opasania.

Przybrania z kwiatów do ozdoby letnich kapeluszy.

Rycina Nr 10—14 w Bl. Nr 19.

10. Bukiet z fijołków i pączków w kształcie kulistym, służyć może zarówno do kapelusza jak do stanika.

11. Bukiet z konwalii i liści konwalijowych, liście aksamitne.

12. Girlanda z dużych margieritek z pączkami, służy do ozdoby okrągłego kapelusza.

13. Dyadem z niezapominajek z kwiatem niebieskim aksamitnym nieco ciemniejszego koloru.

14. Wianeczek z bzu z jasno-zielonymi liśćmi, służy do przybrania kapotki.

Parasolik.

Rycina Nr 15 w Bl. Nr 19.

Parasolik pokryty jedwabnym materiałem „satin merveilleux“ zaopatrzony podszewką fularową, przybrany szlakami haftowanymi i białym jedwabnym tiulem układanym w fałdy. Rączka drewniana i kokarda z białej atlasowej wstążki 6 c. szer. Górna część przybrana rozetką z tiulu i kokardą z odpowiedniej wstążki.

Parasolik.

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 19.

Rączka z kości słoniowej inkrustowanej perłową masą, sznurek i kwasty białe jedwabne. Pokrycie wewnętrzne z białego jedwabnego materiału, zewnętrzne zaś z atlasu „merveilleux“ koloru ponsowego, przybrane podług ryc. częścią tiulem fałdowanym, częścią koronką w zęby. Część górna przybrana riaszą koronkową z białej atlasowej wstążki.

Kołnier z napierśnikiem z batystu i haftowanego szlaku.

Rycina Nr w 17 w Bl. Nr 19.

Napierśnik wykonany z przezroczystego haftowanego szlaku 8 c. szer., przewlekanego różową jedwabną wstążeczką. Koszulka i stojący kołnierzyk z batystu koloru żółtawego w drobne zakładki. Kokarda różowa.

Napierśnik z jedwabnej gazy.

Rycina Nr 18 w Bl. Nr 19.

Napierśnik wycięty en „coeur“ wykonany z jedwabnej gazy koloru żółtego skrajanej ukośnie i ułożonej w fałdy podług ryciny. Brzegi zakończone szerokim ukosem gazy złożonej podwójnie. Rozetki z wstążki jedwabnej ½ cent. szer. koloru żółtego.

Fartuszek do gospodarstwa.

Rycina Nr 27 i 28 w Bl. Nr 19. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 60—61).

Fartuszek wykonany z materiału pół wełnianego, otoczony do koła obrąbkami. Środkowa część podług wskazówek zaopatrzona przewleczeniem z wstążek krzyżowo, które w tylnej części

związują się podług ryciny. Po dopełnieniu złożenia fig. 60 i 61 skrajać fig. 60 i 61 i połączyć części podług wzoru.

Worek na bieliznę.

Rycina Nr 33 w Bl. Nr 19.

Worek wykonany szydełkiem krętą bawełną koloru szarego ścięciem przezroczystym. Składa się z dwóch części wykonanych oddzielnie i połączonych po bokach częścią wykonaną ściśniętymi oczkami bawełną niebieską. Strona zewnętrzna ozdobiona napisem „lingerie“ wykonanym na tkaninie „aida“ koloru „crème“ ścięciem krzyżowym, bawełną koloru niebieskiego. Sztabki bambusowe, sznury i kwasty niebieskie wykończają całość.

Kosz do papierów.

Rycina Nr 34, 26, 31 i 32 w Bl. Nr 19.

Kosz pleciony z trzciny i sitowia przybrany szlakiem i zębami wykonanymi szydełkiem. Szlak wełniany przetykany złotem i podług ryc. Nr 26 haftowany hamburską włóczką kolorami: niebieskim i piaskowym oraz filozelą koloru miedzianego, sznelą ciemną ponsową i złotą nitką, ścięciem pocztowym i płaskim. Górny brzeg otoczony błyszczącym sznurem oraz szlakiem wykonanym szydełkiem podwójną złotą nitką podług ryc. Nr 31. Rozetki wykonane szydełkiem błyszczącą bawełną koloru brązowego i tegoż koloru karbowaną sznelą. Grelotki ze złotych nitek i także kwasty (ryc. Nr 32) wykończają całość.

Mantylka dla starszej osoby.

Rycina Nr 1. (Krój pierw strona tablicy Nr VI, fig. 54—59).

Mantylka wykonana z krepy wełnianej koloru czarnego podszyta lekką jedwabną podszewką, dla uwydatnienia figury przyszyte wstążki do związywania, fig. zaś 55 i 56 w miejscach oznaczonych * połączone taśmą elastyczną 4 c. dług. Przednie części i plecy przybrane jedwabną pasmanterią, przedni brzeg w rodzaju żabotu koronką 20 cent. szer. i także koronką rękawy i dolna część pleców. Po dopełnieniu złożenia fig. 54, 56 i 57 i przydłużeniu w kierunku strzałki fig. 54, skrajać fig. 54—58 po dwie części, zaopatrzyć podszewką. Kołnier podług fig. 59 z materiału na wzdłuż złożonego zaopatrzyć podszewką i podkładem i połączyć fig. 54 i 56 od 39 do 40. Wierzchnią część rękawa zmarszczyć od : do : , zeszyć z częścią spodnią od 43 do 44 i wszyć w mantylkę od 45 do 46. Kołnier wszyć od 41 do 47, przyozdobić takowy koronką i podług ryciny wykończyć całość.



Nr 1. Mantylka dla starszej osoby. (Krój odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 54—59).

Nr 2. Suknia z beżu w deseń (do ryc. Nr 16. (Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—16).

Kołnierz do ochrony sukien przy czesaniu.

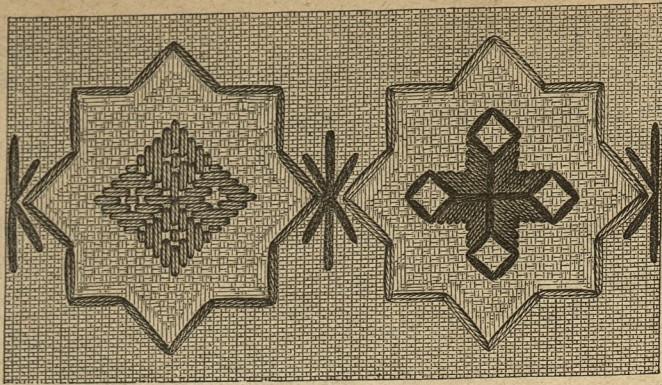
Rycina Nr 3-5.

Kołnierz wykonany z materiału lnianego krepowanego, składa się z 2-ch części przednich i pleców. Część tylna 40 centim. wysokości oprócz frędzli; części przednie 23 cent. szer. Szlak wykonany według ryc. Nr 3 ściąganiem płaskim bawełną koloru różowego, oliwkowego i brązowego, figury otaczane na przemian ściąganiem długim bawełną koloru różowego i brązowego.

Fartuszek ozdobiony szlakiem haftowanym.

Rycina Nr 6 i 7.

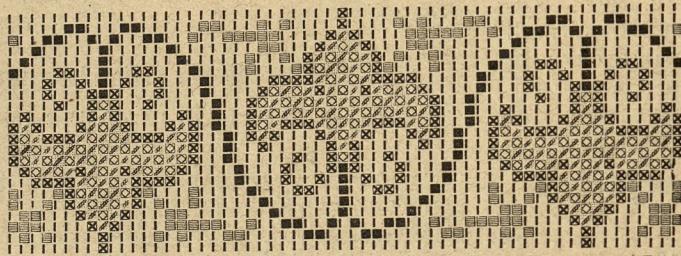
Fartuszek 80 centim. dług. a 60 centim. szer. z białej wełnianej tkaniny, otoczony szlakiem przezroczystym tkaniny „Jawa.“ Deseń wykonać według ryc. Nr 7 ściąganiem krzyżowym, rozmaitego koloru rozpolowaną filozelą i złotą nitką i otoczyć z obydwóch stron ściąganiem rybiej łuszczyki wykonanym jedwabiem koloru ponsowego. Dolny brzeg fartuszka obrabić, górny zaś zmarszczyć kilka razy w równych odstępach na 30 cent. szer., wszyć w pasek z kolorowej podwójnie złożonej wstążki i lewy bok przybrać z takiejże wstążki kokardą.



Nr 3. Haft do ryc. Nr 4 i 5 (szerokość naturalna).



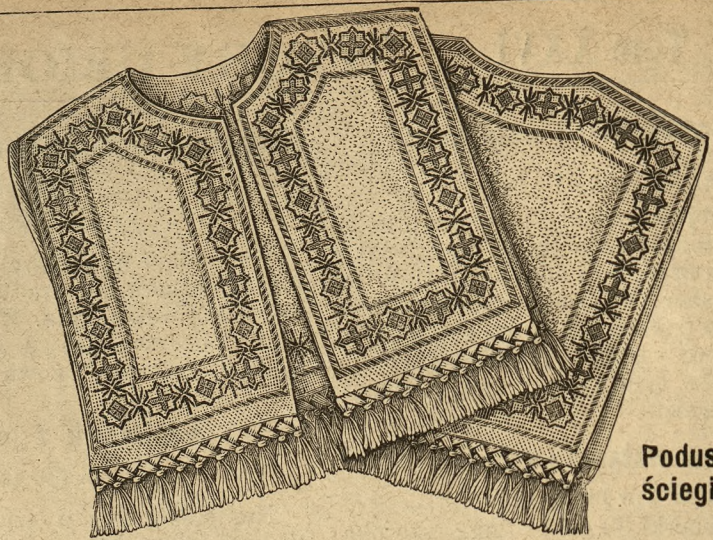
Nr 6. Fartuszek ozdobiony szlakiem haftowanym (do ryc. Nr 7).



Nr 7. Deseń do ryc. Nr 6. Robota krzyżowa. ■ ponsowy, ■ oliwkowy, ■ niebieski, □ żółty, / złoty, / tło.



Nr 8. Znak haftowany.



Nr 4 i 5. Kołnierz do ochrony sukni przy czesaniu (do ryc. Nr 3).

Przepaska do firanek.

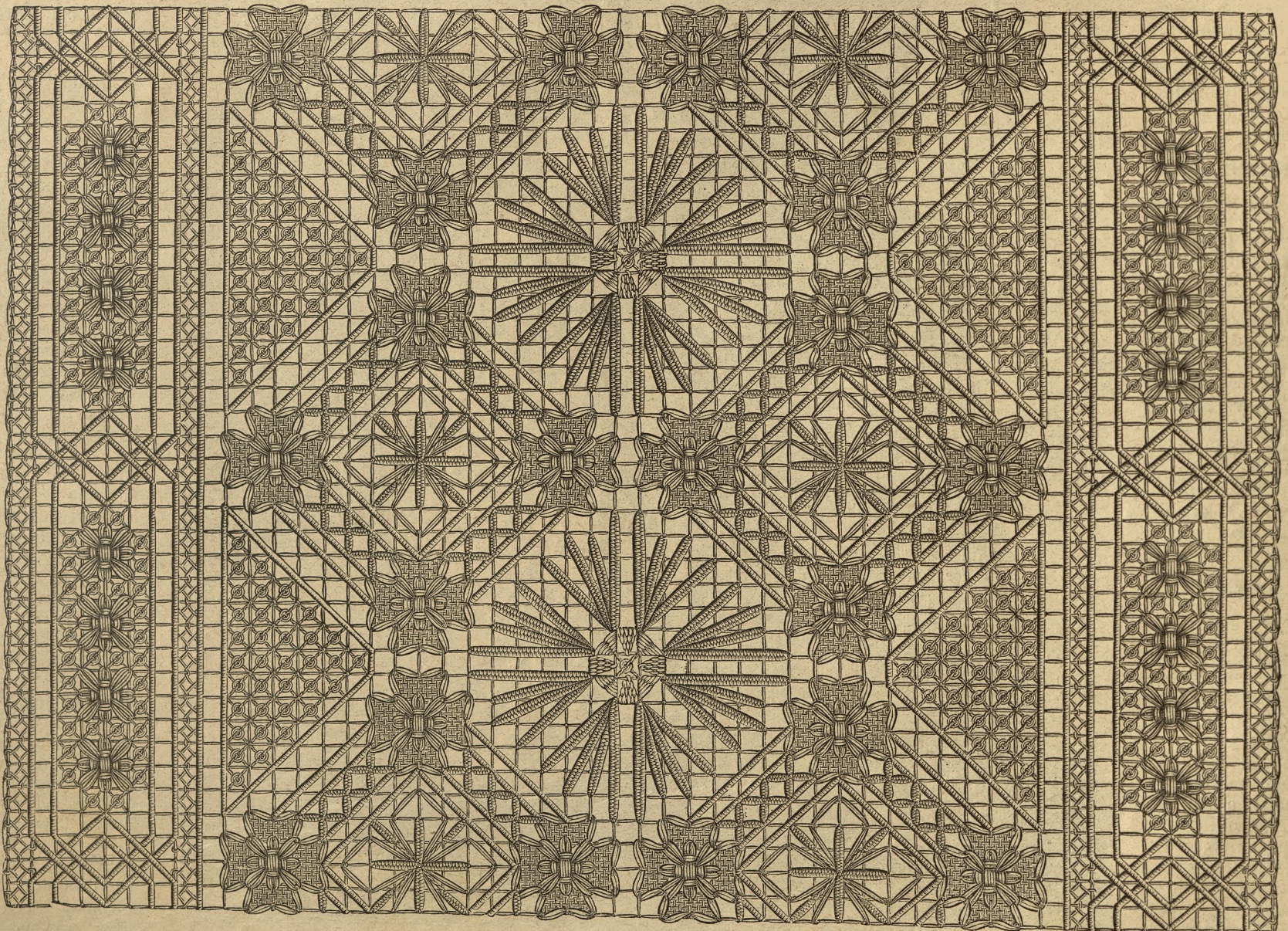
Rycina Nr 10b.

Przepaska wykonana szydełkiem wełną „kongo“ w 2-ch cieniach koloru tabaczkowego, oraz przędzą karbowaną.

Poduszka wykonana ściąganiem płaskim i krzyżowym.

Rycina Nr 10a i 10c.

Poduszka złożona z trzech części pluszu 30 centim. wiel. koloru ciłkowego skrajanych trójkątnie nieco kabłąkowato i z czwartej takiejże części ozdobionej haftem na tkaninie „kongres.“ Rycina Nr 10c przedstawia połowę desenu 2/3 części naturalnej wielkości. Środkowa część figury wykonana japońską złotą nitką ściąganiem płaskim na podkładzie tegoż koloru jedwabiu, i otoczona sznelą koloru brązowego przez dwie nitki szerokości i wysokości tkaniny. Zewnętrzna część ściąganiem krzyżowym jedwabiem jasno i ciemno-oliwkowym przez dwie nitki wysokości a 4 szerokości, oraz ściąganiem płaskim otoczenie jedwabiem koloru terrakota a zewnętrzna część figury sznelą tegoż koloru. Górna figura wykonana niemi metalowymi koloru miedzianego, niebieską sznelą, jedwabiem jasno-brązowym i ciemniejszego koloru sznelą. Dolna figura takież niemi metalowymi, czarnym jedwabiem, terrakota i niebieską sznelą. Figury rogowe, złotą nitką, niebieską sznelą, tegoż koloru jedwabiem i sznelą terrakota. Małe zaś figury srebrną nitką, czarnym jedwabiem oraz terrakota, i sznelą koloru oliwko-



Nr 9. Szlak do firanek i t. p. Gipiura siatkowa.

wego. Po wykończeniu przybrać sznurami podług ryciny i pomponikami z filozeli.

Torebka siatkowa.

Rycina Nr 13.

Woreczek bardzo wygodny na noszenie drobnych sprawunków, wykonany z wyjątkowym ściąganiem siatkowym ze sznureczka czarnego jedwabnego.

Poduszka.

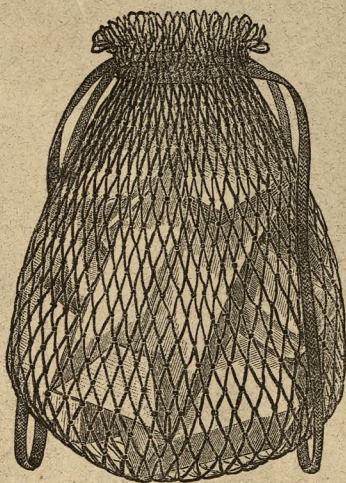
Rycina Nr 14, 15 i 10.

Poduszka wykonana ściąganiem płaskim i ażurowym, 45 centymetrów długości a 32 szerokości wypchana puchem i pokryta atlasem koloru żółtego. Wierzchnia część ozdobiona haftem na tkaninie „kongres”. Deseń wykonać podług ryc. Nr 15, małe kwadraciki grubym kordonkiem jedwabnym koloru żółtego ściąganiem płaskim. Przezroczyste paseczki pomiędzy kwadracikami przejmować przez dwie nitki cienkim krętym kordonkiem, przezroczyste zaś figury w ukośnym kierunku kordonkiem żółtym. Przezroczyste tło figur wielkich rogowych kordonkiem białym. Brzeg podług ryc. Nr 10 wykonać ściąganiem płaskim, przezroczyste paski przez 3 nitki jedwabiem białym. Po wykończeniu ozdobić koronką klockową 6 cent. szer. ułożoną podług ryciny.

Suknia z aksamitu w pasy i kaszmiru.

Rycina Nr 19.

Spódnica z podszewki skrajana z małym trenem, pokryta kaszmiem ciemno - ponsowym układanym w kontrafaldy, dolna część nacinana i układana w pukle. Część tylna z aksamitu tegoż koloru w cieniowane pasy.



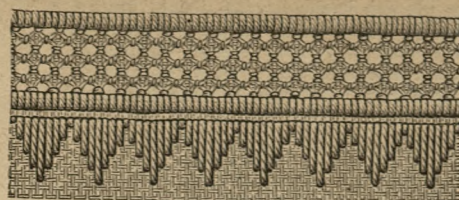
Nr 13. Worek wykonany siatką na brudne drobiazgi.



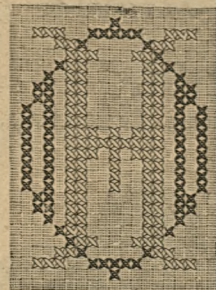
Nr 14. Poduszka wykonana ściąganiem płaskim i przezroczystym (do ryc. Nr 10 i 15).



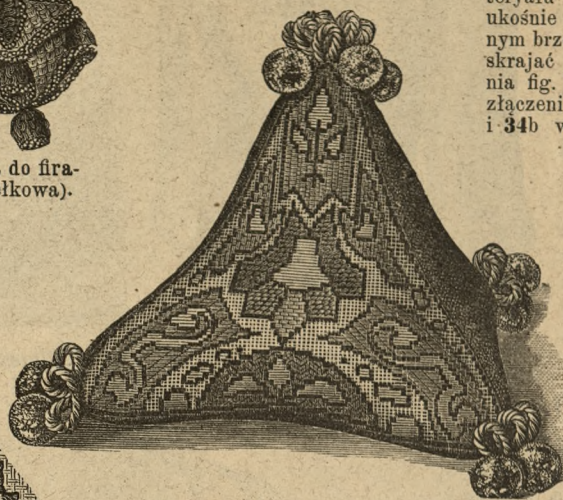
Nr 10b. Przepaska do firanek (robota szydełkowa).



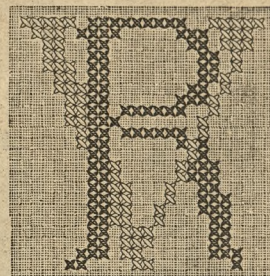
Nr 10. Szalaczek do poduszki ryc. Nr 14. (Szerokość naturalna).



Nr 11. Znak haftowany.

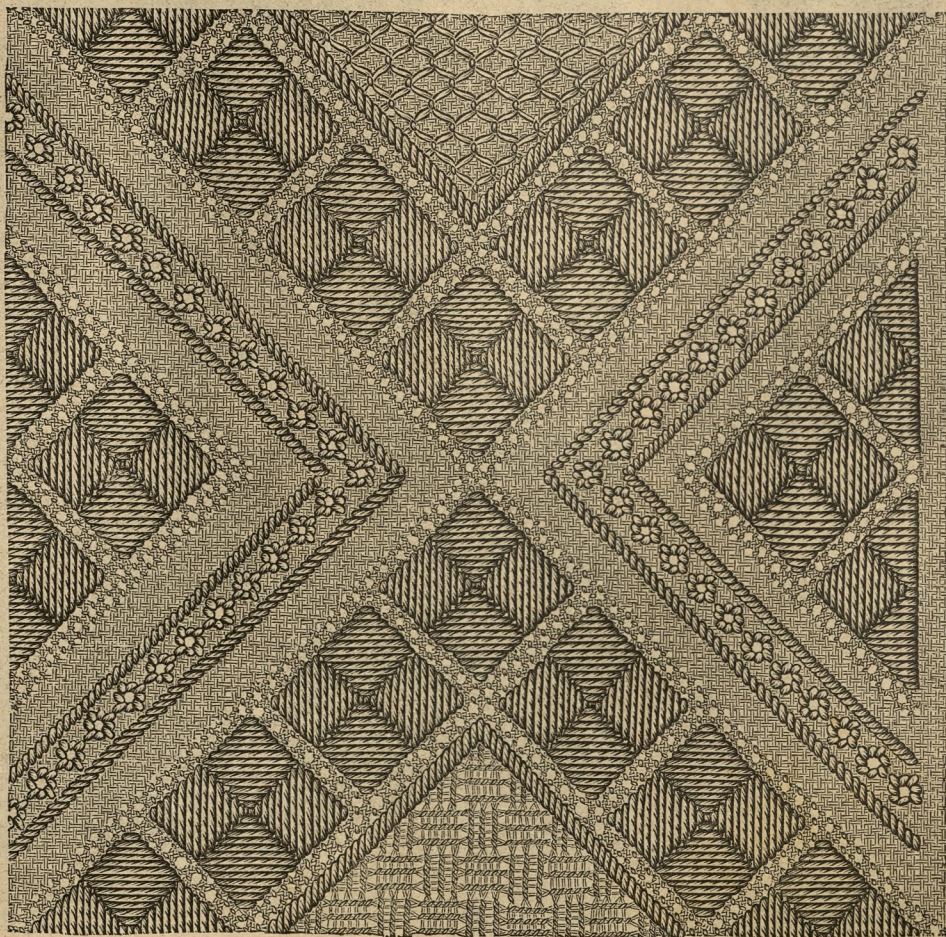


Nr 10c. Poduszka (do ryc. Nr 10a) ściąg płaski i krzyżowy.



Nr 12. Znak haftowany.

Nr 10a. Połowa haftu (do ryc. Nr 10c) ściąg płaski i krzyżowy.



Nr 15. Haft do poduszki Nr 14. (Wielkość naturalna).

Stanik krótki z aksamitu, spięty z boku i na ramionach oraz w środku w przednich częściach z podszewki. Rekawki podług ryciny.

Suknia z materiału wełnianego i w kraty.

Rycina Nr 17 do ryciny Nr 25 w Bl. Nr 19. (Krój odwr. str. tabl. Nr IV, fig. 33-41).

Spódnica z podszewki, pokryta odpowiedniej długości spódnica 300 c. obwodu z materiału w kraty, skrajanego ukośnie zmarszczoną w górnym brzegu. Co do wetmannu skrajając po dopełnieniu złożenia fig. 34a, 34b i 37, i po złączeniu podług liter fig. 34a i 34b wzdłuż linii przecięcia oraz po przydłużeniu w kierunku strzałki fig. 37, skrajając z podszewki fig. 33, 39 i 40; z materiału gładkiego podług fig. 35-37 po dwie części; podług fig. 34ab jedną część złożoną wzdłuż środka. Z materiału w kraty podług fig. 41 dwie części, podług fig. 38 kołnierz, który zaopatrzyć podkładem oraz podszewką fig. 35 do 38. Wykonać zaszewki w przednich częściach z podszewki i zeszyć takowe od 1 do 2; zmarszczyć przednią część z materiału od górnego brzegu aż do linii w równych odstępach, umocować we wcięciu każdy 1 na punkcie, przyfastrygować część do podszewki i zeszyć podług cyfr plecy, boczki i przednie części. Wyłożyć i przednie części wzdłuż kropkowanej linii i wykonać fałdy, mocując każdy 1

na punkcie, jako też w plecach każde 3 + na jednej kropce, przyszyć przednie części do boczów od 7 a do 8 a plecy do boczów od 8 do 9. Wykonać w tylnym brzegu dziurki do zasznurowania jedwabnym sznureczkiem i wszyć kołnierzyk od 1 do 14. Rękawy z podszewki przybrać w dolnym brzegu aż do linii materiałem w kraty, zeszyć takowe od 15 do 16, umocować w materiale każdy + na kropce, zmarszczyć w górnym brzegu od * do *, w dolnym od dwukropka do dwukropka przymocować do podszewki; wykonać szew wewnętrzny od 17 do 19 i wszyć w wetman, trafiając 19 na 18 przednich części.

Przepisy gospodarskie.

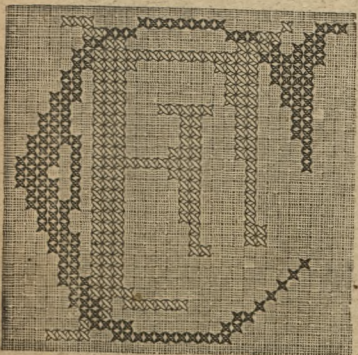
Obwarzanecki do herbaty.

Dziesięć żółtek, kwaterek młodej kwaśnej śmietany, pół funta cukru, zagnieść na stolnicy z taką ilością mąki, żeby ciasto było nietwarde — mniej więcej jak zwykle kruche ciasto. Mieć przygotowane obrane i drobno usiekane migdały, biorąc ćwierć funta na tę proporcję, wymieszać je z cukrem grubo tłuczonym, lub takim, jaki zostaje od przesiania mączki. Z ciasta robić na stolnicy wałeczki, maczać je w rozbitym jajku a następnie każdy oddzielnie natychmiast w owych przygotowanych migdałach z cukrem związać na obwarzanki, układać na blachę masłem wysmarowaną i wstawić w piec miernie gorący dopóki się nie zrumienią.

L. C.



Nr 16. Suknia z beżu w deseń do ryc. Nr 2). Krój i op. pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—16.

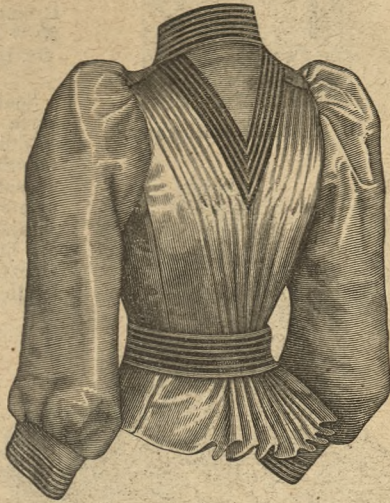


Nr 20. Znak haftowany (robota krzyżowa).

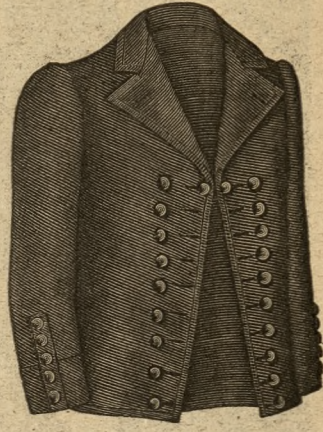
Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Мая 1890 г.



Nr 22. Ubranie dla chłopczyka od 6—8 lat (do ryc. Nr 24). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 17—24.



Nr 23. Bluzka z „surah.”



Nr 24. Żakiet do ubrania ryc. Nr 22. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 25—29).

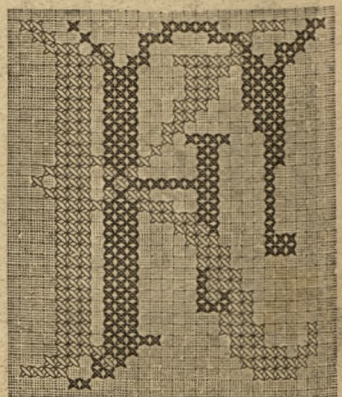


Nr 18. Suknia z materiału wełnianego i jedwabnego repsu (do ryc. Nr 17). Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr V, fig. 42—53.

Nr 19. Suknia z aksamitu w pasy i kaszmiru.



Nr 17. Suknia z materiału wełnianego i jedwabnego repsu (do ryc. Nr 18). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 42—53.



Nr 21. Znak haftowany (robota krzyżowa).

Obiad na Niedzielę.

1. Czarnina z prosięcia z kluseczkami.
2. Kotlety baranie sos „soubise.”
3. Marchewka z grzankami.
4. Prosię z rożna.
5. Budyń z orzechów lub czekolady.

KORESPONDENCYA.

Odp. pani Miecz. L. w Galicyi.

Odpowiadam tylko w Bluszczu. Odpowiedź na żądany sposób znajdzie pani w 13 wydaniu „Je dynych praktycznych przepisów” str. 366 i 367.

Odp. p. Joan. P. w Litwinu.

Paltocik aksamitny podług ryciny Nr 24 w Bluszczu Nr 12, kosztować będzie rs. 100.

Odp. stałej pren.

Specjalistką, jakiej pani żąda, jest fabryka gorsetów firmy „Marié” ulica Niecała Nr 1.

Uwaga.

Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w Nr 19 Bluszczu służy też do numeru dzisiejszego.